# WIDNOKRĄG

34 (736)
23 SIERPNIA
1983 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY


Józefa Kwiatkowska

## POWRÓCĘ

*Powrócę do rodzinnej ziemi,*
*cichej i czystej.*
*Latem pachnie szałwią*
*a zimą mrozem i wiatrem.*

*Kocham ją za pierwsze tajemnice*
*nie wyznane nikomu*
*za tajemnice*
*skrywane nawet przed samą sobą.*

*Na dachu rankiem gruchają dzikie gołębie,*
*rzeczka szemrze ledwie słyszalna*
*jak odległe wspomnienia.*

*Myślałam, że wszędzie stąd zdążę,*
*że zrobię wszystko co zrobić powinnam.*

*Teraz czeka mnie długa bezsenna noc,*
*gdyż nagle świat dla mnie*
*i ja dla świata — staliśmy się tajemnicą.*

# Niepokój o losy świata

**35 lat temu obradował we Wrocławiu Światowy Kongres Intelektualistów. Od tego czasu zagrożenie dla pokoju nie tylko nie zmniejszyło się, ale poważnie wzrosło.**

Wrocławski kongres był odpowiedzią ludzi odpowiedzialnych i myślących na przeżytą niedawno tragedię wojny oraz na zagrożenia dla pokoju wynikające z rozpoczynającej się „zimnej wojny". Było to w dwa lata od głośnego przemówienia Churchilla na amerykańskim uniwersytecie w Fulton. Pogłębiały się rozdźwięki między niedawnymi sojusznikami na Wschodzie i Zachodzie.

Organizatorami kongresu byli działacze ruchu obrońców pokoju z Polski i Francji — dwóch krajów sąsiadujących z Niemcami, które wielokrotnie ucierpiały w wyniku wojny i miały rozbudowany ruch oporu. Do Wrocławia przyjechało czterystu pisarzy, uczonych, myślicieli i artystów z 45 krajów. Byli wśród nich ludzie tak znani jak Pablo Picasso, Irena Joliot-Curie, Aleksander Fadiejew, Paul Eluard, Julian Huxley.

Dla przypomnienia znaczenia kongresu oddajemy głos jednemu z jego uczestników, członkowi delegacji polskiej Antoniemu Słonimskiemu:

„Pewien mój Sceptyczny Przyjaciel powiedział po kongresie: No cóż, jakoś nic z tego nie wyszło. Zjechali się, nagadali, a świat dalej gotuje się do wojny. Takie kongresy intelektualistów, to tylko mydlenie oczu sobie i innym.

Pragnę nie tylko jemu odpowiedzieć (...) Byłoby zbyt wielką naiwnością oczekiwać, aby w świecie nam współczesnym głos najwybitniejszego choćby gremium intelektualistów mógł wpłynąć bezpośrednio na bieg historii na decyzje polityków. Ale jeśli określimy granice i możliwości takich kongresów manifestacyjnych uznać będziemy musieli, że kongres wrocławski był ogromnym, nadspodziewanym sukcesem.

Po raz pierwszy od czasu wojny w polskim mieście zebrało się około czterystu wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki, aby zademonstrować swą niezłomną wolę utrwalenia pokoju. Przyjechali do Polski zza oceanów, z krajów wielkich i małych, przedstawiciele ras i narodów całego niemal świata, aby dać odprawę podżegaczom wojennym. Po raz pierwszy od czasu wojny spotkali się intelektualiści Zachodu z uczonymi i pisarzami Związku Radzieckiego. Kongres był wolną trybuną, terenem swobodnego ścierania się poglądów. Mówili komuniści i katolicy, liberałowie i socjaliści. Na trybunę wchodzili nie politycy i przedstawiciele rządów, ale uczeni, pisarze i artyści (...).

Kongres wrocławski nie wpłynie bezpośrednio na zmianę sytuacji międzynarodowej, ale już dziś wiemy, że utrudni w wielu krajach robotę podżegaczy wojennych. Kongres wrocławski nie utrwalił stosunków między Wschodem a Zachodem, ale pokazał i dowiódł doświadczalnie, że mimo wszelkich różnic politycznych i ekonomicznych taki kontakt jest możliwy (...).

Prości ludzie z całego świata, ludzie dobrej woli, którzy dźwigają z pyłu i prochu zniszczenia domy swoje, ci ludzie, którzy z troską i lękiem patrzą w niebo, nadsłuchując znów warkotu samolotów, ludzie, którzy wzrok podnoszą z nagłówków pism na niedorosłych synów, na dzieci, żony i matki — powinni usłyszeć ten głos idący z Polski".

Wrocławski kongres był pierwszym międzynarodowym spotkaniem intelektualistów w obronie pokoju. Odbywały się później następne, wystarczy przypomnieć Światowy Kongres Sił Pokoju w Moskwie czy niedawne Zgromadzenie w Pradze „O pokój i życie przeciwko wojnie jądrowej". Dają one świadectwo rosnącemu znaczeniu ruchu obrońców pokoju. Gromadzą ludzi, którzy nie chcą pogodzić się z narzucanym przez najbogatsze kraje Zachodu wyścigiem zbrojeń. Za scenariuszami nuklearnej zagłady, za rachubami strategów Reagana o możliwości prowadzenia i wygrania ograniczonej wojny jądrowej, stoi przecież — nie ukrywany bynajmniej — zamiar powstrzymania rozwoju krajów socjalistycznych i ruchów narodowowyzwoleńczych.

Mimo wielu pokojowych inicjatyw Związku Radzieckiego, mimo jednostronnego zobowiązania ZSRR, że nie użyje jako pierwszy broni jądrowej — są na świecie politycy, którzy liczą, że wojnę jądrową można wygrać. Przeciwstawienie się takim planom wymusza wiele wysiłków, od wyrażania głosów protestu po przygotowanie się do obrony.

**W. F.**

## POLSKA Z LOTU PTAKA

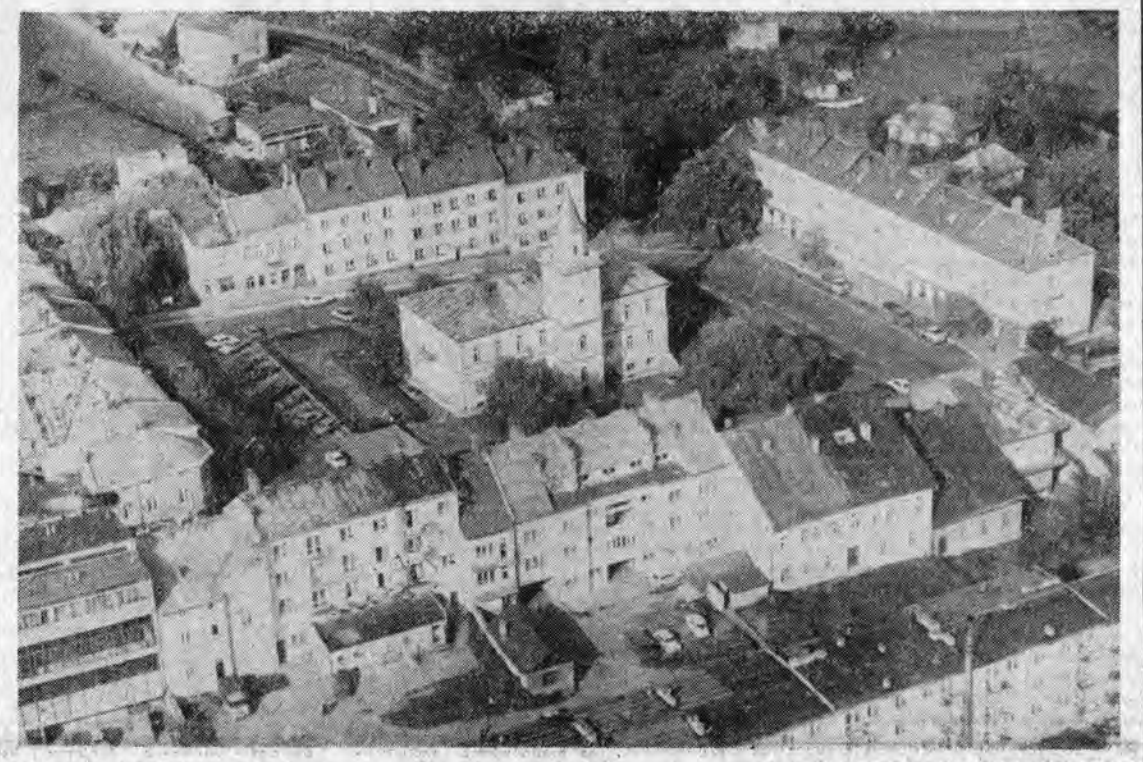

*Rynek w Brzozowie* — CAF. — ANDRZEJ ŁOKAJ

Andrzej Tumialis

# Brak wszystkiego oprócz uczniów

Byłoby ryzykownie i niegrzecznie rozstrzygać czy to nasze szkolnictwo nie ma szczęścia do młodzieży, czy też młodzież nie ma szczęścia do szkolnictwa — w każdym razie sprawy na tej linii układają się wyjątkowo nie w takt. Gdyśmy w szkolnictwo zawodowe potężnie inwestowali, popierając sens techników i zawodówek propagandą, że ogólniak nic nie daje, że po ogólniaku nic się nie umie itp., wtedy młodzież przez długie lata omijała szkoły zawodowe. Upłynęło wiele lat, sytuacja uległa tzw. korzystnym zmianom, aż doszło do kolejnego paradoksu. Oto w tym roku, po raz pierwszy w sposób alarmujący, młodzież poczęła odwracać się od ogólniaków i szturmować szkoły zawodowe. A stało się to akurat w czasie, gdy ogólniaki ulepszamy, reformujemy, zaś szkoły zawodowe są na mieliźnie, na jakiej nigdy nie były.

Przypomnieć trzeba, że szkolnictwo to ciągle podlega 20 ministerstwom, zarządom i organizacjom, co nie sprzyja wcale podnoszeniu zawodowego poziomu szkół, „za to" sprzyja systematycznemu obniżaniu ich poziomu ogólnokształcącego. Całe szkolnictwo zawodowe jest niedoinwestowane, zaś te jego 50 proc., które podlega resortowi oświaty, jest niedoinwestowane szczególnie, bo tutaj wszystkie pieniądze od dawna szły na budowę przedszkoli i ogólniaków w związku z planowaną reformą oświaty. Niestabilny rynek pracy, ciągły brak bilansu potrzeb gospodarki narodowej nie pozwalają ułożyć harmonijnej współpracy szkół i zakładów pracy, a ten fakt jest od lat podstawową okolicznością do krytyki. Ciągle pogłębiają się różnice w programach nauczania i oczekiwaniach zakładów pracy: programy swoje, a technologie, organizacje zakładów pracy — swoje. W szkołach obowiązują programy z lat 1964—65, w zakładach pracy coś się jednak od tego czasu zmieniło. Raport resortu oświaty powiada w tej sprawie tak:

„Nastąpiło osłabienie zainteresowania zakładów pracy prowadzeniem szkół przyzakładowych i organizowaniem dla uczniów zajęć praktycznych i praktyk zawodowych oraz innych zadań oświatowo-wychowawczych, na co wpłynęło niewątpliwie pominięcie w ustawie o przedsiębiorstwach zadań związanych z reprodukcją kadr kwalifikowanych oraz doskonaleniem zawodowym załóg, co interpretuje się jako przejęcie tych zadań przez państwo". Jakby taka ocena nie brzmiała już dostatecznie groźnie, liczby są jeszcze wymowniejsze: oto w rezultacie osłabienia zainteresowania pracodawców podwyższaniem kwalifikacji ich podwładnych spadek liczby uczących się i pracujących w porównaniu z rokiem 1979 wynosi aż 50 proc.!

Podsumujmy: kiepskie warsztaty, braki książek i surowców, narzędzi i pomocy naukowych, niechęć zakładów pracy do szkolenia i swoich pracowników, i przyszłych pracowników — to z jednej strony. A z drugiej: wyraźny pęd młodzieży do szkół zawodowych. Doraźne decyzje resortu oświaty w sprawie zahamowania degradacji szkół zawodowych mają charakter wyłącznie interwencyjny, projekt utworzenia funduszu kształcenia zawodowego zgłoszony przez resort oświaty nie zyskał aprobaty Ministerstwa Finansów. Uznano, że tworzenie tego funduszu z podatku od płac jest niewłaściwe. Niestety, nie określono jeszcze co byłoby właściwe, aby szkolnictwo zawodowe nie tylko przestało i liczbowo, i merytorycznie poruszać się po równi pochyłej, a wręcz przeciwnie — by je rychło postawić na nogi. Tymczasem przez długi czas, najpierw w okresie przygotowywania reformy oświaty, ostatnio w ferworze doskonalenia ogólniaków, szkolnictwo zawodowe, obejmujące prawie dwa miliony uczniów, pozostaje w głębokim cieniu. Wygląda nawet na to, że interesują się nim wyłącznie uczniowie. **(Interpress)**

Zbigniew Krempf

# KRAŃCE

ANI RAZU NIE ZBOCZYŁ. Mateusz z drogi, jakby go coś wiodło w tamtą stronę. Wiedział dokąd idzie, co dzień prawie przemierzał ten kawałek wąskiej uliczki, potem lśniącym asfaltem dochodził do miejsca, z którego mógł widzieć całą tę fabrykę, albo ruszyć wokoło niej. Nikt by nie przypuszczał, że porusza się z trudem, prawie na oślep, trawiony gorączką i ostrym bólem we wnętrzu. Później, kiedy znalazł się na rozjeżdżonej drodze, kiedy niepewnie stawiał drżące nogi, nikt nie mógł go już widzieć, nikt nie musiał zastanawiać się choć przez chwilę, co wygnało tego starego człowieka nocą na zamokłe pole, co zmusiło go do potykania się pośród glinianych grud i zeschniętych badyli.

Nie odczuwał chłodu, ani zacinającego deszczu. Wpółprzygasłymi oczami wodził wokół siebie. Dziś już by nie poszedł kilometrami chłopski bunt i głód pod starostwem manifestować, czy do lasu pożywienie zanieść. A przecież nachodził się, nachodził. Szosą, polną drogą, leśnym duktem. Magdy może by nie poznał, gdyby nie to chodzenie. Z brzozowymi miotłami wtedy szedł, ostatek drogi lasem. Echo niosło jakiś terkot aż po gęste korony drzew. I wtedy stanął, nasłuchiwał dobrą chwilę, potem zboczył między drzewa, szedł na przełaj, dopóki terkot nie oddalił się i ucichł. Rzednący las zazielenił dołem gęstwą leszczyny i malin. Widziało się ponad nimi świeżo skoszoną łąkę, ciemne kopki siana, konia skubiącego krótką trawę, a za nim wóz i kobietę z długimi widłami. Przedarł się przez zarośla, rzucił na ziemię swoje miotły, usiadł i skręcił papierosa. Palił powoli, spoglądał po łące i dalekich polach aż po słomiane strzechy i białą wieżę kościoła. Kobieta pokrzykiwała na konia, ten wyciągał łeb do przodu, parskał i robił kilkanaście kroków, przystawał i chciwie zanurzał pysk w zieleni.

Kobieta nie patrzyła w stronę lasu, nie widziała go chyba siedzącego pod leszczyną. Dopiero kiedy koń dotknął pyskiem jego buta i cofnął się z głośnym parsknięciem, wyszła zza wozu.

— Szczęść Boże — powiedział. — Piękne siano macie.

— Bóg zapłać. Dla kogo piękne, dla kogo nie. — Obrzuciła go spłoszonym, ale i bacznym spojrzeniem. — Za robotą pan chodzi?

— Nie. — Klepnął dłonią po miotłach. — Sprzedaję tanio, może kupicie, panienko?

— A mnie one na co? Mało to gałęzi wkoło? Chyba żeby w majątku kupili.

— To z majątku panienka? Chłopów nie mają, że tak sama siano zwozi?

— Nasza ta łąka. Dziedzic matce ją dał, jak ojca zabiło, kiedy z pożaru panicza ratował.

— Dobry wasz dziedzic.

— Dobry? Dziedzice wszyscy jednacy.

— Ano prawda. Niech panienka siądzie odpocznie. Skwar dziś nieprawdopodobny.

Zawahała się, obejrzała za siebie, ale przecież usiadła, a później z siana kobiałkę wydostała, zsiadłego mleka i kawał chleba-razowca podała. Kiedy ściągnęła białą chustkę z głowy, zobaczył, że jest młodsza niż mu się wydawało i urodziwsza. Pomógł jej resztę siana na wóz załadować, wrzucił miotły na wierzch i pojechali do wsi. Spał w jednej izbie z nią, jej matką i dwoma braćmi, ale jeszcze nie pomyślał, że mu żoną będzie. Sprzedał parę mioteł i ruszył dalej. Odprowadziła go do tego samego miejsca, gdzie się poprzedniego dnia poznali, zapytała, czy jeszcze kiedyś w te strony zawita.

— A rada byś mi była? — zapytał.

— Co bym miała nie być — odparła śmiało.

— To czekaj mnie tu w trzecią sobotę o zmierzchu — powiedział.

I poszedł w trzecią sobotę, nie za dużo mu było tych kilometrów, a potem jeszcze i jeszcze chodził i kochali się na skraju lasu, zaprzysięgali sobie miłowanie po grób. I swatów posłał do jej matki, a potem przywiózł ze sobą. Nie doczekała Magda własnej gospodarki, może i lepiej tak. Ciężko by jej było na starość znowu rozstawać się ze swoim i od nowa życie zaczynać bez ziemi.

Zatrzymał się, wygrzebał z kieszeni wiśniową cygarniczkę, przełamał sporta. Ręce mu drżały, zapałki gasły jedna po drugiej, zdmuchiwane porywami deszczowego wiatru. Przykucnął, osłonił dłonie kołnierzem i wreszcie udało mu się zapalić. Dźwignął się z trudem, ruszył z powrotem ku ciemniejącym konturom. Lampy, oświetlające plac koło fabryki, wydawały się zrazu żółtymi, drgającymi krążkami. Później im bliżej podchodził, lampy kołysząc się, rozjaśniały, to znowu pogrążały w mroku mury i tafle okien. Chwilami jasność pełzła po kałużach, roziskrzała je, wabiła. Cofał się przed migoczącymi mackami, nie pozwalał się dosięgnąć. Nie dlatego, żeby się światła lękał, starość i choroba nie zmogły go na tyle, by mu rozum zaćmiło. Nie chciał być widziany przez tych, co fabrykę pilnują. Zachichotał cicho. Ani chybi pilnują, jakże inaczej? Każde dobro musi być pilnowane. Nie pilnował to swojego sadu? Tego pierwszego, prawdziwego, nie tego, co go z wyrachowania zasadził; ten nie zdążył nawet porządnie liści puścić, a i korzenie chyba ziemi się nie uczepiły. W którym to miejscu było? Tam pewnie gdzie teraz coś kanciastego, ze skośnymi, szklanymi daszkami. Popatrzeć tylko: najsamprzód sad, teraz szkłem zadaszone mury. Jedno i drugie, to szkłem, tamto gałęziami, wysoko ku niebu sięga. Tyle że z muru i szkła, co tu wyrosły, chłop żadnej korzyści nie ma. Chłop? On, Mateusz Jankowiec przestał być chłopem. A był chłopem upartym i sprytnym. Przed wielką wojną i potem, jak hitlersyny gnębić naród poczęli. Ciemniaka udawał, bo ciemniaków Niemcy potrzebowali. Kto przytomniej na świat patrzył, był podejrzany. Dla hitlerowca każdy mądrzejszy od niego nie był człowiekiem, tylko bydlęciem. Ale najgłupsi, do roboty zdatni, mogli czas jakiś służyć za kromkę chleba i jarmużową zupę. Jak by jeszcze po robocie mleko dawali, albo sobie kawał szpeku wykroić pozwolili, chwaliliby ich szkopy przed swoim „gottem", co go na brzuchach nosili. Było, minęło. Teraz śmierć bliska. Jakżeś przeżył swoje wojny i trzęsąca starość cię naszła, to co masz czynić? Zwołaj do łoża-barłogu śmierdzącego padłem rodzinę — syna, synową, wnuczkę, wnuczkę z jej mężem, co przyjechał do zakładu, co sad przygluszył. Wszystkich ich zwołaj i powiedz coś rozumnego w ostatniej godzinie, co by im się w pamięć wbiło, w serce, co by ich prowadziło w życiu. Co swoim potomnym może powiedzieć prosty człowiek, choć nie najgłupszy? Żeby żyli, jak on? A jakże on żył? Zwyczajnie, w smrodliwej izbie folwarcznych czworaków, z grzbietem zgiętym nad pańską ziemią, z zaciśniętymi zębami i pięściami, z wiarą, że minie czas jaśniepaństwa. I potem, kiedy nie stało już jaśniepaństwa, kiedy zmiotła je wojna zwycięska razem z germańskimi półbogami, noszącymi wyrok swojej własnej śmierci na czapkach, wyrok wytłoczony w trupich główkach, też żył zwyczajnie: orał swój spłachetek ziemi, gromadził budulec dla siebie i Adama, gardłował na wiejskich zebraniach, zasiadywał we władzach, sołtysem go wieś wybrała. Nie wyrósł wysoko, nie oderwał się od nadanej ziemi na jakieś wysokie stołki, choć mu nieraz mówili, że godzien jest powiatu, a nawet województwa. Pozostał „aktywem", póki sił starczyło, dekorował sobą prezydialne stoły; weteran o nim mówiono, senior, ojciec partyzantów. Powiedzą tak nad otwartą mogiłą, powinni już sobie przemówienie sposobić, czas na to. Ale nie wiedzą tego, co on wie. Stoi na swojej ziemi, którą przyszło oddać, za godziwe pieniądze po prawdzie, pod budowę tej fabryki, co jakieś sztuczne nici na swetry przerabia. Pomyśleć tylko: taka fabryka trafiła aż na pole jakiegoś Jankowca.

Zadyszał się, jakby nie myślami wstecz wracał, a pośpiesznym marszem, chwycił żylastą ręką koszulę na rzężącej piersi. Przed oczami kołowały mu kolorowe płatki, niczym odpryski tęczy. Tyle tego, co sobie powspominać można. Chyba ostatni raz już tutaj przyszedł, czuł to i nie wiedział, czy żałować, czy odetchnąć, jak po wielkim utrudzeniu. Chwiał się na nogach, ale nie odchodził z tego miejsca, skąd widział w szarzyźnie przedświtu swój upragniony niegdyś skrawek ziemi, gdzie gmach wyrósł, co chleb daje wnuczce i jej mężowi, temu człowiekowi, który go kiedyś o dyrekcję pytał.

Seweryn obudził się z bólem głowy i obrzydliwym smakiem w ustach. Uniósł ostrożnie kołdrę, aby wstając nie obudzić Izy i uprzytomnił sobie, że jej nie ma. Zerwał się, ubrał naprędce, spojrzał w okno. Wiatr gnał ukosem drobny, gęsty deszcz. Na parapecie, przytulony do szyby, siedział gawron. Deszcz tłuki go po głowie i grzbiecie, a on rozpościerał skrzydła, otrząsał się z gniew-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

» « LISTY » «

# Brak gospodarza cmentarzy w Lesku

Jestem od początku powstania „Nowin" czytelnikiem stałym Waszego pisma. Chciałbym zabrać głos w sprawie cmentarzy w mieście Lesku. Jest ich cztery, a mianowicie: cmentarz stary, nowy, niedawno odkryty cmentarz wojskowy z pierwszej wojny światowej oraz cmentarz żydowski. „Niedaleko od synagogi ciągnie się pod starymi dębami opuszczony cmentarz żydowski, tchnący smutkiem zupełnej martwoty, resztek kamiennych nagrobków" — (Władysław Krygowski „Bieszczady"). Jest to zabytek „0" klasy. Okazuje się, że brak jest gospodarza, który by zadbał o wygląd „miasta zmarłych". Naprzód stary cmentarz. Leży za miastem, na pięknym wzgórzu wśród dużych drzew dębowych i lip. Nie ogrodzony, groby bez żadnej numeracji, brak ścieżek między grobami i nagrobkami, zanieczyszczony różnymi odpadami itd., itp. Tak samo przedstawia się nowy cmentarz i cmentarz żydowski. To wszystko koniecznie należy zobaczyć. Nie wiadomo do kogo należy stary cmentarz. Według pewnych danych należał do parafii greckokatolickiej za zgodą popów grzebano tu także ludzi wyznania rzymskokatolickiego. Kogo należy obwinić za ten straszny bałagan panujący na wymienionych miejscach wiecznego spoczynku? Podnosiły się wprawdzie głosy w tej sprawie na różnych zebraniach. Bił się o to i dalej bije jeden z radnych Gminnej Rady Narodowej w Lesku. Cóż jednak znaczy jeden człowiek szlachetnie myślący, gdy nie ma ogólnego poparcia. Wszystko kończy się, „że się zrobi", „że należy zrobić", „że się uporządkuje". Tymczasem czas swoje robi. Najgorsze świadectwo niedbalstwa „ojcom miasta" wystawiają liczni turyści z całej Polski i z zagranicy, a jest ich dużo! Czyżbyśmy zapomnieli o naszej polskiej kulturze w odniesieniu do zmarłych, podczas gdy w całej Polsce tak dba się o cmentarze cywilne i wojskowe jakby chodziło o rzecz najświętszą? Celem niech będzie wspólna mobilizacja Urzędu do Spraw Wyznań w Krośnie, ojców miasta Leska, aby zaczęło coś się naprawdę dziać. Dobrze by było przyjechać i na własne oczy zobaczyć.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

Jacek Stachiewicz

# „TRYWIALIZACJA INTERPRETACYJNA" „PRZEPUSTKI NA STUDIA"

Gdy po raz pierwszy przeczytałem „Przepustkę na studia" Wojciecha Furmana będącą w założeniu swoim polemiką z wywiadem, który przeprowadziłem z dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej WSP w Rzeszowie doc. dr. hab. Piotrem Żbikowskim, odniosłem wrażenie, że W. Furman polemizuje nie z tym co przeczytał, lecz z tym, co chciał w tym wywiadzie przeczytać. Wobec tego przeczytałem po raz drugi, ale wrażenie, jakie odniosłem było identyczne jak za pierwszym razem. Wobec tego przeczytałem po raz trzeci, ale wrażenie było takie samo jak za pierwszym razem i drugim.

W. Furman wyczytał w tym wywiadzie przede wszystkim, że jestem nonszalancki i opętany manią trywialnej kpiny wobec regulaminu obowiązującego w bieżącym roku na egzaminach wstępnych w uczelniach pedagogicznych, a także wobec młodzieży pochodzenia wiejskiego (właściwsze byłoby określenie — zamieszkania wiejskiego, ponieważ regulamin preferował nie pochodzenie, lecz zamieszkanie właśnie). Piszę o tym na początku i na końcu swojego tekstu: jest to więc klamra spinająca jego pozostałe sformułowania, wnioski, oceny i słowa krytyki. Ponieważ autor nie może wyzbyć się dozy pewnego subiektywizmu wobec własnego tekstu, skonsultowałem wywiad z osobami postronnymi (pochodzenia wiejskiego i miejskiego). Kpiny się nie dopatrzono. Jeden z konsultantów będący, jak sam się wyraził, uczulony na punkcie swojego pochodzenia wiejskiego podzielił natomiast mój pogląd, że regulamin obowiązujący w tym roku przy egzaminach wstępnych, a dopuszczający do studiów każdego z kandydatów zamieszkałych na wsi, który wystarczy, że zdał egzamin z wynikiem dostatecznym, jest dyskryminujący właśnie wobec młodzieży miejskiej i rzutujący negatywnie na wzajemne stosunki pomiędzy młodzieżą z miasta i ze wsi. W. Furman pisze natomiast, że **młodzież miejska nie powinna się czuć takim regulaminem pokrzywdzona, ponieważ „w większym stopniu niż młodzież chłopska trafia do liceów ogólnokształcących i ma lepsze możliwości rozwoju intelektualnego". Uważam, że jest to sformułowanie i wnioskowanie względne, ponieważ nie można generalizować, że wszystka młodzież w mieście ma takie same warunki dostępu do liceów ogólnokształcących, jak również nie można powiedzieć, że wszystka młodzież wiejska ma tenże dostęp w równym stopniu utrudniony.**

Razem z doc. dr. hab. Piotrem Żbikowskim zgodziliśmy się co do tego, że powyższy regulamin jest dyskryminujący wobec młodzieży miejskiej, jak również zgodziliśmy się co do tego, że był on nie trafiony, ponieważ nie spełniał zamierzonego celu. Regulamin ten bowiem nie preferował ani młodzieży miejskiej, ani wiejskiej, preferował natomiast mieszkańców pogranicza miast **którzy mają miasto pod nosem, dostęp do liceów i „możliwości rozwoju intelektualnego" mają tak i sam (aby gadość uczynić W. Furmanowi), jak owa wybrana (według mojego polemisty) kasta młodzieży miejskiej.**

Dokładna analiza kandydatów, którzy otrzymają w tym roku indeks WSP w Rzeszowie pozwala ponadto domniemywać, że młodzież chłopska wcale nie skorzystała wiele na nowym regulaminie egzaminów wstępnych.

Na filologię polską otrzymały bowiem wstęp w tym roku 72 osoby, z której to liczby 32 osób nie dotyczył regulamin, ponieważ zdały one egzamin z oceną średnią 4,25 i wyższą.

Pozostałe natomiast 40 osób to ci, którzy zostali przyjęci ze względu na zamieszkanie na wsi w okresie nauki w szkole średniej. Wśród tej 40, 18 kandydatów pochodzi z rodzin inteligenckich, 11 z robotniczych, 1 z rodziny rzemieślniczej, a zaledwie 10 z rodzin chłopskich.

W. Furman pisze, że w powojennej Polsce były już różne systemy preferencyjne dla młodzieży pochodzenia wiejskiego, że były one niedoskonałe i że o doskonałości w tym przypadku trudno mówić. Zgadza się. W. Furman powołuje się również, co charakterystyczne, na Marksa „można mieć zdolności do studiów, ale nie mieć pieniędzy na studia, czyli nie mieć zdolności do studiów". W. Furman pisze również: „Równy dostęp młodzieży do studiów jest nie tylko jednym z ideałów socjalizmu. Ma także swój wymiar praktyczny: szansę rozwijania i wykorzystywania zdolności wszystkich obywateli dla budowania pomyślności ogółu społeczeństwa".

Ciekawym bardzo co napisałby Karol Marks, gdyby przyszło mu żyć w Polsce pierwszych lat pięćdziesiątych XX wieku, gdyby ponadto obarczony był potomstwem w wieku uprawniającym do egzaminów na wyższą uczelnię. Był przecież pochodzenia mieszczańskiego, zaś żona jego Jenny, była z domu von Westphalen.

Osobiście uważam, że równy dostęp młodzieży do studiów musi być jednym z ideałów socjalizmu, każdy musi mieć prawo do owego dostępu, zaś jedynym kapitałem uprawniającym do studiów powinna być wiedza. (Na marginesie zaś kapitału rozumianego w sensie gotówki, nie miałbym nic przeciwko temu, aby młodzież opłacała w jakimś tam procencie czesne. Młodzież z krajów kapitalistycznych nie dziwiłaby się wówczas w wakacyjnych rozmowach z naszą młodzieżą (wypowiedź profesora Zdzisława Krasińskiego na zjeździe młodzieży partyjnej w Gdańsku), że nasi milusińscy podczas wakacji tylko się bawią i wypoczywają: mniej byłoby, myślę, kłopotów ze żniwami, zbiorem jabłek i innymi klęskami urodzaju. Bariera na drodze ku temu wydaje mi się jedynie organizacja i rozwiązanie kwestii uczciwej płacy za równie uczciwą pracę).

Powracając zaś do domniemanych kpin z młodzieży wiejskiej pozwolę sobie zwrócić uwagę, że doc. dr hab. Piotr Żbikowski dwukrotnie powtórzył w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem, iż młodzież wiejska była w tym roku znacznie lepiej przygotowana do egzaminów niż młodzież miejska.

W. Furman pisze: „...razi pogardliwe stwierdzenie J. Stachiewicza, który wiejskich maturzystów sprzed 3—4 lat nazywa „ludźmi nie rokującymi nadziei". Któż upoważnił dziennikarza do ferowania takiej oceny w stosunku do młodzieży w wieku 22 — 23 lat. Taka nonszalancja źle świadczy przede wszystkim o autorze tej oceny".

Uważam, że w tym przypadku nonszalancją wykazuje się przede wszystkim wspomniany regulamin egzaminów wstępnych, ponieważ dopuszcza możliwość otrzymania indeksu osim swędem, nie zaś dzięki kapitałowi, którym powinna być wiedza.

Podejrzewam, że kpinę i cynizm W. Furman dostrzegł w mojej reakcji na słowa dyrektora Instytutu Filologii Polskiej, iż skrót AK jeden ze zdających historię wziął za Akademie Krakowską, zaś na pytanie — kto był dowódcą AK odpowiedział — Karol Świerczewski. Owszem, zaśmiałem się wówczas. Nie muszę chyba tłumaczyć, iż był to śmiech gorzki, wywołany niewiarą i poddający w wątpliwość wypowiedź mojego rozmówcy. Niestety doc. Piotr Żbikowski nie kłamał.

W. Furman: „Skoro wiadomo, że preferencje są mało skutecznym sposobem wyrównywania składu społecznego studentów, łatwo z nich kpić. Trudniej wskazać inny skuteczny sposób. Ale o to żaden z rozmówców, skwapliwie wykazujących słabości systemu preferencji, nie troszczy się".

Tym razem faktycznie z cynizmem zacytowałem powyższe zdanie, ponieważ potwierdza ono sformułowaną przeze mnie na początku repliki opinię, że W. Furman czytając wywiad „Trywializacja interpretacyjna" trywializował go już podczas czytania, czytając to co chciał wyczytać, nie zaś co zostało napisane.

Nie kpiliśmy z preferencji, lecz wykazywaliśmy ich rozmijanie się z zamierzonym celem. Doc. dr hab. Piotr Żbikowski wskazał sposób: „decydująca powinna być przede wszystkim ocena z przedmiotów objętych egzaminem" czemu przytaknąłem, będąc do takiego rozwiązania przekonany.

Będąc zaś dziennikarzem wspomnę jedynie, że w latach siedemdziesiątych wymagano od dziennikarzy, aby każdy materiał kończył się podawaniem rozwiązań. Odnosiłem wówczas wrażenie, że robi się to po to, aby odpowiedzialność za wiadome decyzje gospodarcze rozpisać później na poszczególnych dziennikarzy. Faktem jest, że byli w tym fachu tacy, którzy poczuli się dzięki temu decydującymi o losach kraju, aczkolwiek nie podzielałem ich entuzjazmu, oni zaś, gdy skończyły się lata siedemdziesiąte, przekonywali, że w niczym rąk nie maczali.

Dlatego będąc dziennikarzem uważam, że o wstępie na wyższą uczelnię powinna decydować wiedza i że nie skład społeczny absolwentów uczelni wyższych jest najważniejszy, lecz zasób ich wiedzy właśnie. I chyba się nie pomylę, jeśli napiszę, że wiedza absolwentów szkół wyższych i jej wykorzystanie w praktyce stanowić będzie o przyszłości naszego kraju. Mnie osobiście będzie najzupełniej obojętne, czy inżynier, który doprowadzi do skonstruowania mikroprocesora o pojemności, którą nie będą się mogli poszczycić ani Japończycy, ani Amerykanie, wywodzić się będzie ze wsi, z rodziny robotniczej, czy z rodziny profesorskiej. Natomiast im trudniejsza będzie jego droga do tego wynalazku, tym większy będzie mój szacunek dla tego kogoś.

● ● ●

**Nie pisałem o manii, cynizmie ani kpinach z młodzieży wiejskiej. W polemicznym ferworze J. Stachiewicz potrafi nawet zacytować połowę zdania z mojego tekstu, ponieważ zacytowanie całego zdania nie dawałoby podstawy do polemiki.**

**Tymczasem spór jest nienowy: za czy przeciw preferencjom w przyjmowaniu na studia. Obydwaj jesteśmy zgodni, że obecny system przyjęć jest niedoskonały, z tego faktu wyciągamy jednak różne wnioski. J. Stachiewicz — niedoskonały, więc należy go znieść. Ja — niedoskonały, więc należy go zmieniać, skoro znieść go na razie nie można, ponieważ młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego jest na studiach stacjonarnych nieproporcjonalnie mało, co nie świadczy o braku zdolności u tej młodzieży, ale o jej gorszym — z wielu powodów przygotowaniu do studiów.**

**W. FURMAN**

# przeczytaliśmy...

...w **„POLITYCE"** — refleksje Włodzimierza Sokorskiego na temat kultury w latach czterdziestych pt. **„Kredowe koło kultury".**

Wspominając pierwsze lata powojenne, autor pisze m. in.: „... największym bogactwem ówczesnego życia kulturalnego była wielorakość tematyczna, ideowa i formalna tygodników oraz literatury, teatru, plastyki i muzyki... Na łódzkim Zjeździe Związku Literatów ponownie wybrano prezesem Jarosława Iwaszkiewicza i dopiero szczeciński zjazd powołał na to stanowisko Leona Kruczkowskiego. Niezależnie od zjawisk „wojny domowej", niemal powszechne porozumienie przy odbudowie kraju było faktem i polityka kulturalna spełniała skutecznie rolę buforu między aktualnymi zadaniami politycznymi, przy stale pogarszającej się sytuacji międzynarodowej, a społeczno-psychicznymi oporami społeczeństwa, które uparcie stało na stanowisku, że ziemia, drzewa, kobiety i dzieła sztuki wymagają osobistego do siebie stosunku... Nieraz w swoim sumieniu wracałem do sprawy, dlaczego ówczesna polityka kulturalna zdawała społeczny i polityczny egzamin, podczas gdy na wszystkich kolejnych etapach, poczynając od 1950 r., potykała się o nieprzekraczalny próg wyobraźni ludzkiej. Trudno zaprzeczyć, że nie istniał ani wtedy, ani dzisiaj, znak równania między rzeczywistością artystyczną i rzeczywistością ekonomiczno-społeczną. Jednostka ludzka jako podmiot dzieła artystycznego dyktowała konieczność funkcjonowania buforu między polityką chwili a uniwersalnymi wartościami sztuki. Jest to punkt wyjścia każdych rozmyślań na temat działalności kulturalnej.

Maria Dąbrowska pisała w swoich pamiętnikach, że mimo niechęci do komunistów szanowała ich za to, że wzięli na siebie ciężar odpowiedzialności za losy państwa w sytuacji, jaka zaistniała po układach poczdamskich...

...Dążyły do trwałych rozstrzygnięć we wszystkich dziedzinach życia państwowego. Nie chcemy dopuścić do nowych kryzysów. Nauka przeszłości jest pod tym względem nie tylko szkołą, lecz zespołem faktów, których nie wolno lekceważyć. Żadna polityka poza końcem lat czterdziestych nie sprawdziła nam się historycznie, a przecież wówczas również istniało podziemie i toczyły się walki. Powiedzmy, że wtedy w społeczeństwie polskim przeważała nadzieja. To wielki kulturotwórczy czynnik. Dzisiaj zaczyna przeważać rozsądek. Nie jest to faktor mniej ważny. Lecz nikt nie ma na rozsądek monopolu. Na tym polega sens współczesnego porozumienia, które chce dopuścić do głosu wszystkie twórcze siły naszego narodu. Polityka kulturalna wymaga większej wrażliwości niż jakakolwiek inna dziedzina. I większej tolerancji. A nade wszystko wielkoduszności. Liczą się nie tylko fakty, liczą się intencje. Przy każdym rozstrzygnięciu administracyjnym należy pamiętać o słowach Leona Kruczkowskiego, że twórcy Polski Ludowej nie mniej szanują socjalizm niż politycy, tylko inaczej".

Z niektórymi tezami autora można polemizować, faktem jednak pozostaje, że dzisiejsza polityka kulturalna powinna wystrzegać się błędów przeszłości. Nie jest to zależne wyłącznie od administracji, ale także od partnerów — środowisk naukowych, twórczych i artystycznych — jeżeli zechcą poważnie przyjąć na siebie współodpowiedzialność za losy polskiej kultury. Warto zatem artykuł przeczytać w całości i wyciągnąć z niego wnioski.

...w **„GŁOSIE NAUCZYCIELSKIM"** — artykuł pt. **„Podręczniki — czy będą na czas?"** pióra Włodzimierza Holeszowskiego, głównego specjalisty w Ministerstwie Oświaty i Wychowania.

...Na rok szkolny 1983/84 zaplanowano druk podręczników do przedmiotów ogólnokształcących dla wszystkich typów szkół w nakładzie 32,5 mln egz. łącznie z rezerwami. Do 31 lipca br. wykonano 28,5 mln egz., tj. 88 proc. W grupie podręczników bezpłatnych dla klas 0, I, III, VI i VIII, drukowanych w nakładach zapewniających 100-procentowe zaopatrzenie uczniów, na planowane 20,3 mln egz., wydrukowano już 19 mln egz. Pozostałe nakłady będą wydrukowane w sierpniu 1983 roku z tym, że ostatnie partie „Plastyki" i „Muzyki" dla kl. VI opuszczą drukarnie w pierwszych dniach września 1983 r."

Tak więc mamy ogólny pogląd na problem podręczników. Autor podaje, które podręczniki będą jeszcze spóźnione, ale sytuacja przedstawia się lepiej niż w roku 1982. Miejmy nadzieję, że wszystkie prognozy tym razem się sprawdzą.

**CZYT.**

# KRAŃCE

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

nym, chrapliwym krakaniem i zastygał znowu, przyciśnięty do szyby.

Przypatrując się ptakowi, Seweryn nie mógł oprzeć się wrażeniu, że spogląda na własne odbicie. Od paru godzin jest też taki skulony, otrząsający się co jakiś czas z niewesołych myśli. Odwrócił się od okna, wybiegł z domu do najbliższej budki telefonicznej, do tej samej, z której tyle razy dzwonił do Izy. Powinni już chyba do licha wiedzieć, czy Izie grozi jakieś niebezpieczeństwo, czy konieczny jest zabieg, czy nie nastąpi poronienie. Lekarz mówił coś o zabiegu, ewentualnym. Ale co to znaczy „ewentualnie" w rozumieniu lekarza? Wykręcił numer szpitala, czekał długo, zanim czyjś głos zastąpił monotonne buczenie.

— Niecierpliwi się pan, jak gdyby zaraz nastąpić miał poród — powiedział z pobłażliwością lekarz. — Rozumiem, to normalny objaw u potencjalnych ojców, ale w tym wypadku ma pan jeszcze dwa miesiące czasu. Niech pan będzie cierpliwy. Żonie nic nie grozi, postaramy się utrzymać ciążę.

Odłożył słuchawkę. Postarają się utrzymać ciążę. Cóż to znaczy? Wrócił do domu, sięgnął po encyklopedię zdrowia, pełną zakładek, pasków papieru z notatkami Izy. Obok encyklopedii zauważył na półce kilka broszur. Dotyczyły ciąży, porodu, karmienia, higieny niemowląt. Rozłożył je na stoliku, wczytywał się w szczegółowe opisy stadiów ciąży, pierwszych czynności przy noworodku, częstotliwości karmienia. Przyglądał się zdjęciom niemowląt, porównywał z wyobrażanym sobie wizerunkiem własnego oczekiwanego dziecka, pomyślał, że wizerunek jest ładniejszy niż te książkowe dzieci.

Kiedy rozległo się stukanie poderwał się z krzesła i skoczył do drzwi.

Mężczyzna w mundurze straży przemysłowej dotknął lśniącego wilgocią daszka czapki dwoma palcami.

— Pan jest majster Kracz? Bo mnie przysłali, to znaczy ten starszy człowiek, co go znaleźli obok zakładu, w domu już jest dziadek, mówili i kazali przyjść i powiedzieć to i przyszedłem — powiedział nieskładnie.

— Tak rozumiem. Więc mówi pan, że znaleziono dziadka Mateusza obok zakładu. Stało mu się coś?

— Ja tam nie wiem. Kazali przyjść i zawiadomić. A co z nim, to nie wiem, nie było mnie przy tym, jak go znaleźli.

— Dziękuję panu. Zaraz idę. — Seweryn cofnął się do mieszkania, nałożył kurtkę z kapturem.

Ulice były puste. Wiatr nie ustawał, pędził ciemne chmury chłustające wodą, przenikał przez odzież, zagradzał drogę. Seweryn szedł pochylony, mając przez chwilę przed oczami samochód, którym odjeżdżał strażnik, nie powiedział, że można się z nim zabrać, a przecież wracał do zakładu. Podmuchy były tak silne, że Seweryn musiał przystawać, ocierać zalzawione oczy i przeczekawszy najsilniejsze uderzenie wiatru, przeć znowu naprzód. Jeżeli dziadek Mateusz był w taką pogodę na polu, to zupełnie oczywiste, że opadł z sił. Uparty człowiek. Nawet w niedzielny poranek musiał iść pod zakład. Znaleźli go, to znaczy, że upadł, nie miał siły podnieść się i wrócić do domu. Całe szczęście, że ktoś go zauważył. Trzeba dziadkowi wyperswadować te wędrówki.

Przed domem Jankowców zatrzymał się raptownie, powiódł po nim nieufnym wzrokiem, nacisnął klamkę i znalazł się w sieni. Drzwi po lewej stronie były uchylone i kiedy tam zajrzał, zobaczył swojego teścia, a ponad jego ramieniem leżącego w łóżku Mateusza.

Wszedł do pokoju na palcach.

— Co się stało? — zapytał szeptem. — Nieprzytomny?

— Przytomny, przytomny — odezwał się nieoczekiwanie mocnym głosem Mateusz i uniósł głowę. — Co cię tak świtem przyniosło, Seweryn?

— Słyszałem, że dziadkowi coś się stało.

— Gdzieś słyszał? Aha, pojmuję. — Mateusz spojrzał z wyrzutem na Adama. — Twoja sprawka, co? Musiałeś go spod pierzyny wyciągać i jeszcze Izę straszyć.

— Odwiozłem Izę wieczorem do szpitala — powiedział Seweryn. — Poczuła bóle i jakoś ogólnie źle się jej zrobiło.

— Patrzajcie, to już? — zdumiał się Mateusz. — Nie za wcześnie na rodzenie?

— Za wcześnie, pewno — przyznał Seweryn. — Dzwoniłem do szpitala, ale lekarz powiedział tylko, żebym był cierpliwy.

— Cierpliwy, powiadasz. — Mateusz zaniósł się gwałtownym kaszlem, przycisnął rękę do piersi. — Przez całe życie wszyscy człowieka upominają, żeby był cierpliwy, a cierpliwość nie zawsze owoce przynosi. Prawda, że różna cierpliwość bywa. Taka, co pozwala człowiekowi siły zbierać i taka, co go całkiem w niemoc wpędza. — Znowu zaczął kaszleć.

— Niech ojciec tyle nie mówi — upomniał go Adam. — Mówienie jeszcze bardziej ojca męczy. Lekarz przyjdzie, zapisze jakieś lekarstwa, albo i da skierowanie do szpitala. Teraz niech ojciec spokojnie leży.

— Głupiś synu, boś młody — westchnął Mateusz. — Do żadnego szpitala nie pójdę.

—A dlaczego? Raz dwa ojca dokładnie specjaliści zbadają, poradzą, co i jak.

— Jak przyjdzie pora, to mnie już tylko jeden specjalista potrzebny będzie. — Mateusz zaśmiał się z wysiłkiem. — Grabarz się ten specjalista nazywa.

— Znowu ojciec plecie głupstwa — mruknął Adam. — Przeziębił się ojciec na tym deszczu, upadł. Niczego sobie ojciec nie złamał, a na przeziębienie są lekarstwa.

— Tu ci rację przyznam. Na przeziębienie są leki i na wszystkie choroby są. Ale ja chory nie jestem. Na kaszel mam wywar lipowy z miodem. A na to, co już we mnie wlazło, nie ma i nie będzie lekarstwa, choćby nie wiem jakie głowy nad tym myślały.

Do pokoju weszła Julia z parującym kubkiem.

— Sam jesteś, Seweryn? — Rozejrzała się po pokoju. — Może i lepiej, że Iza w domu została na taką pluchę.

— Nie w domu — zachichotał cicho Mateusz. — W szpitalu jest i może babcią jeszcze dzisiaj zostaniesz.

— Jezus, Maria! Co się stało? — Julia postawiła kubek na taborecie obok łóżka, chwyciła Seweryna za rękę. — Mówże!

—Wieczorem dostała boleści i wezwałem pogotowie. — Seweryn spojrzał na zegarek. — Skoczę do zakładu i zadzwonię znowu. Może mi wreszcie coś konkretnego powiedzą.

— Tylko wracaj szybko, żebym wiedziała, co z Izą! — zawołała za nim Julia.

Długo nie mógł dodzwonić się do szpitala. Potem powiedziano mu, żeby zadzwonił za pół godziny, bo lekarz jest zajęty.

Wracając do teściów, zobaczył zatrzymującą się przed domem sanitarkę. Wszedł do pokoju tuż za lekarzem i kierowcą, niosącym czarną walizeczkę.

Lekarz zsunął z ramion płaszcz, pochylił się nad Mateuszem.

— Na co chory się uskarża?

— Zaniemógł w polu, stracił przytomność —powiedział Adam.

—W polu? A cóż pański ojciec robił w polu na taką pogodę?

— Długo by tłumaczyć — mruknął Adam.

— Możecie zdjąć koszulę, dziadku? O dobrze. Proszę usiąść, oddychać, nie oddychać, oddychać. Temperatura jest?

— Trzydzieści dziewięć i sześć kresek było — powiedziała Julia.

Lekarz kiwnął głową, osłuchał i opukał Mateusza dokładnie.

— Silne zapalenie oskrzeli — powiedział lekarz — i obawiam się, żeby z tego nie wynikło zapalenie płuc. Ile pan ma lat?

— Siedemdziesiąty siódmy mi idzie — odparł Mateusz.

— Ładny wiek, ładny. — Lekarz pokiwał głową. Trzeba by do szpitala, dziadku, badania zrobić, rentgen. W tym wieku, sami państwo rozumiecie — zrobił wymowny gest w stronę Julii i Adama.

— W szpitalu się nie rodziłem, to i w szpitalu umierać nie chcę — wyrzucił z siebie gwałtownie Mateusz. — Nieraz jużem przeziębiony był i żadnego zapalenia nie miałem. Wygrzeję się, kwiatu lipowego z miodem popiję i zagoją się te, jak im tam, oskrzele.

— Ja bym tego na pańskim miejscu nie lekceważył. — Lekarz usiadł przy stole, wyjął receptariusz. — Przepiszę panu antybiotyki, bo samym kwiatem lipowym nie wyleczy się pan.

Seweryn przysłuchiwał się rozmowie, patrzył co chwilę nerwowo na zegarek. Pomyślał, że w tej chwili jakiś inny lekarz zastanawia się, jakie metody leczenia zastosować wobec Izy.

— Pójdę jeszcze raz do telefonu — szepnął ochrypłym nagle głosem do Julii.

Deszcz nie przestawał padać i wiatr nadal pędził go prawie poziomo wzdłuż ściany zakładu.

Tym razem szpital zgłosił się niemal natychmiast po wykręceniu ostatniej cyfry i w chwilę później usłyszał Seweryn znajomy głos lekarza. Znajomy, a przecież inny, pozbawiony domieszki pobłażliwości i protekcjonalnych nutek; jak gdyby namaszczony, uroczysty.

— Dzwoni pan w samą porę. — Lekarz chrząknął. — Proszę przyjąć do wiadomości, że nie udało się niestety utrzymać ciąży. Nastąpił przedwczesny poród... — Nagłe trzaski zagłuszyły głos lekarza. — ... Syna ... luję ... a pańska małżonka nie ... — usłyszał jeszcze i telefon zamilkł.

Seweryn potrząsnął słuchawką, dmuchał, krzyczał „hallo", ale w słuchawce panowała absolutna cisza. Próbował ponownie wykręcić numer, lecz w słuchawce nie było żadnego sygnału.

—Musi wiatr druty pozrywał albo co — odezwał się portier.

Seweryn nie słuchał go, rzucił słuchawką, wybiegł z portierni. Wymachiwał rękami, jakby mu to mogło ułatwić bieg przeciwko wiatrowi. Co chciał, co powiedział lekarz? „A pańska małżonka nie..." Co, nie? Na nie rozpoczyna się mnóstwo wyrazów: niestety, niebawem, niecierpliwie, dziesiątki innych. Lekarz powiedział pewno, że Iza oczekuje go niecierpliwie. Ale skąd pewność, że miał to być cały wyraz? „Nie" mogło być przeczeniem. Nie czuje się dobrze, nie... Poczuł suchość w gardle, kiedy nasunęło mu się to ostatnie przeczenie. Nie wypowiedziane, a przecież czające się w myślach.

Biegł przed siebie, nie czuł smagania wiatru i zalewającego mu twarz deszczu. Ma syna, przedwcześnie urodzonego, lekarz mu gratulował, tak, była tam końcówka „luję". Pośpieszył się następny Kracz na świat. Żeby tylko dobrze o niego zadbali. W encyklopedii powinno być coś na temat wcześniaków. Tylko co znaczyło „a pańska małżonka nie"? Co znaczyło to „nie", przed jakim wyrazem było umieszczone?

Widział już u szczytu ulicy przysadzisty budynek szpitala, dyszał w biegu pod górę, zachłystywał się wiatrem; woda lała mu się za kołnierz, spływała po karku i piersi. Nie czuł tego, chciał być jak najszybciej w szpitalu. Miał nadzieję, że kiedy wejdzie na dyżurkę, wszystko zostanie wyjaśnione i pozbędzie się tego strachu, który go ogarnął po usłyszeniu strzępu zdania „ a pańska małżonka nie..."

(Fragment powieści)

**ZBIGNIEW KREMPF**

# W NOWYM ROKU SZKOLNYM

Zasadniczym postulatem środowiska nauczycielskiego było podniesienie płac pedagogów, tak by ich pobory nie były niższe niż płace inżynierów.

Kolejnym stopniem realizacji tego postulatu jest ostatnia podwyżka płac zasadniczych i wszystkich, związanych z nimi elementów uposażenia. Średnio wynosi ona około 1 tysięcy zł na każdego zatrudnionego w pełnym wymiarze godzin nauczyciela.

Że jest to wyrazem troski o polepszenie warunków życia i pracy nauczycieli —nie trzeba nikogo przekonywać. Chociaż zdarzają się i takie głosy: „że tym nauczycielom to teraz dobrze".

Nie chcę nikogo przekonywać, że jest inaczej, ale trzeba pamiętać o tym, że wciąż nam tych nauczycieli brakuje, że absolwenci szkół wyższych nadal nie uważają tego zawodu za atrakcyjny. Także ze względów finansowych.

Dążymy do tego, aby w społecznym odczuciu podnieść rangę zawodu nauczycielskiego. Sprawy finansowe są tylko jednym z elementów tego programu. Innym — nie mniej ważnym — czynnikiem jest stworzenie pedagogom takich warunków pracy, by mogli oni nie tylko realizować program nauczania, ale mieć czas na wychowywanie, kształtowanie własnych postaw u młodych obywateli.

Wychodząc z tego założenia już od 1 września br. zrealizuje się zasadnicze postulaty Karty Nauczyciela. Obowiązkowy wymiar godzin wynosić będzie 18 godzin lekcyjnych tygodniowo.

Wypłacany będzie także dodatek dla nauczycieli wiejskich w wysokości 10 procent zasadniczego uposażenia. Wszyscy nauczyciele, którzy ukończą trzyletni staż pracy, otrzymają także dodatek stażowy, a pedagodzy z dwudziestoletnim i większym stażem — specjalny dodatek stażowy.

Rangę zawodu określają nie tylko warunki pracy. Tworzą ją również sami nauczyciele — swoją pracą. Nie jest tajemnicą, że w zawodzie tym — obok nauczycieli wspaniałych, z prawdziwego zdarzenia — pracują także ludzie przypadkowi, którzy wykonują tę pracę nie tylko z przekonania, co z musu.

Sporo jest, zwłaszcza w szkołach wiejskich, absolwentów liceów ogólnokształcących, może i o dobrych chęciach, ale ze słabym lub żadnym przygotowaniem. Właśnie z myślą o nich zwiększono liczbę miejsc na studiach dla pracujących.

Tak więc nowy rok szkolny rozpoczyna się pod dobrymi prognozami — lepszych warunków finansowych dla nauczycieli i lepszych perspektyw doboru ludzi do pracy w szkolnictwie.

(W. J.)

Jacek Stachlewicz

# GOLENIE FRYZJEREK (III)

W JEDNYM Z OSTATNICH DNI LIPCA prezes Rzeszowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy posyłu i za wiedzą przewodniczącego Rady Spółdzielni, zwołał zebranie pracowników, po czym obaj dali nogę na urlop poza granice kraju, aby wśród obcojęzycznego gwaru odpocząć od skarg, zażaleń, wniosków, uchwał i petycji formułowanych po polsku zazwyczaj. Z dotychczasowej działalności zarówno prezesa, jak i przewodniczącego rady wynika, że rozumienie języka polskiego jest dla nich kłopotliwe. Jest to bowiem język, którym muszą się posługiwać podczas pracy, w pracy zaś idzie im ostatnio pod górkę.

Na zebraniu, po którym prezes i przewodniczący rady dali nogę na zagraniczny urlop (nie wymawiam zagranicy, sam również daję nogę lada chwila), poinformowali pracowników, że od pierwszego dnia sierpnia otrzymują ciż właśnie pracownicy wypowiedzenie warunków płacy, bowiem tegoż właśnie dnia zarząd (czyli prezes) i rada (czyli jej przewodniczący) wprowadzają nowe cenniki na usługi przez spółdzielnię świadczone. Ponieważ od następnego dnia prezes i przewodniczący rady byli nieuchwytni, wysnuć stąd można wniosek, że (do wyboru): 1. są znakomitymi taktykami, 2. nieprzyzwyczajonymi do wysłuchiwania próśb, skarg i zażaleń pracowników (może być również bez wyboru). Pod koniec komunikatu o podwyżkach powiedzieli ze swadą, że decyzja pewnie nie będzie się podobać, że będą tacy co pójdą i do prasy i będą artykuły, ale *„my się artykułów nie boimy"*.

Jak nie, no to i piszę trzecią część serialu „Golenie fryzjerek" (dwie pierwsze napisane zostały w ubiegłym roku i miałem być wyzwany na pozwanego), czyli o trudzie codziennym samorządnej władzy Rzeszowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy w Rzeszowie.

Gdy prezes i przewodniczący rady podążali za południowym słońcem, dorwało mnie w redakcji kilku co bardziej niesfornych przedstawicieli zawodu fryzjerskiego RzUSP. Pokazali wymówienia warunków płacy („Jeśli się myśli o wprowadzeniu nowych cen, to wymówienie warunków płacy powinno nastąpić trzy miesiące przed wprowadzeniem nowych cen. Czyli, jeśli nowy cennik obowiązuje od 1 sierpnia, to myśmy powinni dostać wypowiedzenia warunków płacy 1 maja").

Fryzjerom i innym pracownikom RzUSP wraz z wprowadzeniem nowych cen obniżono procent prowizji. Skoro podwyższa się ceny, to dlaczegóżby pracownik miał za tę samą pracę otrzymywać dużo więcej pieniędzy? Logiczne? Logiczne. Wytłumaczyłem otóż co niesforniejszym przedstawicielom zawodu fryzjerskiego (po konsultacji z fachowcami), że mimo obniżenia prowizji nic nie stracą, a raczej zyskają. Wówczas jeden z co niesforniejszych powiedział: *„Ja, proszę szanownego pana, wcale nie mam tej pewności, że zarobię więcej, bo skąd da mi pan pewność, że po takiej podwyżce cen będę miał tylu samo klientów co poprzednio?"*.

Logiczne? Logiczne.

Jeden z pracowników Okręgowego Oddziału Lustracji CZSP w Rzeszowie:

„W okresie dziewięciu miesięcy, na przełomie 1981 i 1982 roku RzUSP podwyższyła w trzech etapach ceny swoich wyrobów i usług. Ostatnia, wprowadzona w styczniu 1982 roku, podwyżka cen o 20 proc. spowodowała spadek popytu na usługi o 8 proc. To była podwyżka 20-procentowa, obecna wynosi prawie 100 proc., a w niektórych przypadkach nawet więcej".

Wiemy już więc czego boją się fryzjerzy, wiemy również, że prezes i przewodniczący rady nie boją się nikogo i niczego. Dlaczego się nie boją?

* * *

W II połowie 1982 roku Komitet Miejski PZPR w Rzeszowie przeprowadzał rozmowy z kadrą kierowniczą przedsiębiorstw, instytucji i spółdzielni działających w mieście. Rozmowy przeprowadzały zespoły. Jeden z zespołów przedstawił wnioski dotyczące prezesa Rzeszowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy.

Sekretarz KM PZPR w Rzeszowie Tadeusz Domino:

„Sprawa prezesa RzUSP ciągnie się od 1978 roku z przerwami. Wypływa, to znów przycicha. Na podstawie materiałów przedstawionych przez zespół prowadzący rozmowy z prezesem RzUSP cofnęliśmy prezesowi naszą rekomendację".

— Co oznacza cofnięcie rekomendacji?

— Praktycznie odwołanie ze stanowiska.

— Nastąpiło odwołanie ze stanowiska prezesa RzUSP?

— Nie.

— Dlaczego?

— A cóż my możemy zwojować ze spółdzielczością? Spółdzielczość rządzi się swoim statutem, zarząd i prezesów wybiera walne zgromadzenie spółdzielców.

— Cofając rekomendację opieraliście się zapewne nie na słowach, lecz na dokumentach? Czyż członkowie RzUSP nie znają tych dokumentów?

— Z pewnością znają, ponieważ instytucje kontrolujące zalecały przedstawienie ich na walnym zgromadzeniu.

— I co z tego wynikło?

— Powiedziałem już, że niewiele możemy zwojować ze spółdzielczością. Jedna ze spółdzielni, prezesowi której również cofnęliśmy rekomendację, powiedziała, że nie przyjmuje naszej decyzji do wiadomości i kropka.

— Czyli?

— Czyli nie przyjęła do wiadomości i prezes, któremu cofnęliśmy rekomendację, prezesuje nadal.

— Czego dotyczyły materiały, w wyniku których cofnęliście rekomendację prezesowi RzUSP?

— Niegospodarności i fatalnych stosunków międzyludzkich panujących w spółdzielni. Ale w przypadku RzUSP muszę przyznać, że był odzew na naszą decyzję. Rada Nadzorcza po cofnięciu rekomendacji opracowała program dla prezesa spółdzielni mający na celu poprawę gospodarności. Jej przedstawiciele przyszli z tym do nas i stanęło na tym, że jeśli prezes wykona roczne zadania opracowane przez radę, to wystąpi ona o anulowanie decyzji o cofnięciu rekomendacji.

— I jak rzecz ma się obecnie?

— Obecnie to rzecz ma się tak, że na pierwszej w sierpniu naradzie z sekretarzami komitetów zakładowych, ze strony tychże sekretarzy nastąpił atak na RzUSP za podwyższenie cen. Takie pociągnięcia rozchodzą się bardzo szybko wśród załóg i sekretarze widzą to i widzą reakcje załóg na takie decyzje.

* * *

W ten sposób wróciliśmy do cen RzUSP. Piszący te słowa poprzysiągł sobie swego czasu (nieraz już zresztą przysięgałem sobie i nic z tego nie wyszło), że kończy pisanie o cenach. Dewizą przyświecającą tej decyzji było bowiem założenie, że niechże się te ceny kształtują dowolnie, a decyzje o podwyżkach zweryfikuje życie, czyli — kto wyciągnie ceny za wysoko, ten straci klientów i splajtuje. Niech decyduje prawo rynku.

Rzecz jednak w tym co poniżej.

Dziennikarz Polskiej Agencji Prasowej Mariusz Kukliński w rozmowie z profesorem Zdzisławem Sadowskim, zastępcą pełnomocnika rządu d/s reformy:

— Czy nie narusza samodzielności przedsiębiorstw artykuł upoważniający Radę Ministrów do wprowadzania zakazu podwyższania cen?

Z. Sadowski: Absolutnie nie. (...) Chodzi o to, aby dopuścić prawidłowe ruchy cen, a nie dopuścić do bezzasadnych podwyżek i obciążania cen kosztami marnotrawstwa i nieefektywności . (...)

* * *

Ceny wyrobów i usług oferowanych przez Rzeszowską Usługową Spółdzielnię Pracy są cenami umownymi.

Pracownik Wojewódzkiej Komisji Cen:

*„Nie mamy prawa ingerować w wysokość cen ustalanych przez RzUSP. Obowiązują ją ceny umowne. Przyjmujemy je tylko do wiadomości. Spółdzielnia przysłała nam nowy cennik. Wiemy, że jest „zawierucha" w związku z najnowszymi decyzjami cenowymi tej spółdzielni".*

* * *

„Zawierucha" wywoływana jest przez co niesforniejszych fryzjerów, którzy widzą dalej. Wiedzą, że liczba klientów zmaleje, a skoro nie będzie klientów, nie będzie i zarobków. Zacznie działać prawo rynku — drogi towar bądź usługa nie będą miały popytu, lub popyt ten będzie znacznie słabszy.

Kilka przykładów obrazujących stopień podwyżki: Fryzjerstwo damskie — uczesanie fryzury wodnej ze strzeżeniem kosztowało 153 zł, obecnie 287 zł (wzrost o 87,5 proc.); uczesanie fenem ze strzyżeniem kosztowało 151 zł, obecnie 287 zł (wzrost o 90 proc.); trwała na zimno ze strzyżeniem, bez materiałów kosztowała 277 zł, obecnie 501 zł (wzrost o 81 proc.).

Fryzjerstwo męskie dotknięte zostało najwyższymi podwyżkami. Najpowszechniejsze — strzyżenie włosów modelowe na mokro, kosztowało 46 zł, obecnie 114 zł (wzrost o 148 proc.). Już widzę, jak żony zaczną zarabiać na koafiurach swoich mężów. Zawszeć to forsa pozostanie w domu. Golenie zaś twarzy kosztowało 24 zł, obecnie 50 zł (wzrost o 108 proc.).

* * *

Wracając zaś do wypowiedzi profesora Z. Sadowskiego: „nie dopuścić do bezzasadnych podwyżek i obciążania cen kosztami marnotrawstwa i nieefektywności".

Zofia Domino i Adam Rzegocki, pracownicy Okręgowego Oddziału Lustracji CZSP w Rzeszowie prowadzili lustrację w Rzeszowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy od 21 września 1982 roku do 17 stycznia 1983 roku.

W piśmie polustracyjnym obejmującym 12 bitych stron maszynopisu stwierdzali:

*„Za rok 1981 Spółdzielnia osiągnęła zysk w kwocie 2 375 tys. zł, a za 3 kwartały 1982 roku w kwocie 6 350 tys. zł, przekraczając znacznie zadania planowe. Radykalnej poprawie uległa rentowność. Za 3 kwartały 1982 r. wynosiła ona 8,13 proc., podczas gdy za 3 kwartały 1981 r. zaledwie 1,3 proc.*

*NASTĄPIŁO TO PRZEDE WSZYSTKIM W WYNIKU WZROSTU CEN UMOWNYCH, (podkreślenie moje — J. S.).*

*Spółdzielnia w okresie od II półrocza 1981 r. do końca I kwartału 1982 r. podwyższyła w trzech etapach ceny swoich wyrobów i usług, średnio o 130 proc.".*

I to o czym mówił w wywiadzie prasowym prof. Z. Sadowski:

*„Podwyżki cen wyrobów nie były oparte o przewidywane koszty produkcji, gdyż w tym okresie nie opracowywano kalkulacji wstępnych, pomimo że w umowach z odbiorcami podano, iż kalkulacje takie stanowią ich integralną część. W ten sam sposób podwyższano ceny usług fryzjerskich, fotograficznych, lekarsko - dentystycznych".*

Tylko jedno słowo ciśnie się na usta na określenie tego „sposobu". Ale dalej:

*„Pomimo tak znacznej podwyżki cen, usługi te nadal są nierentowne i na koniec III kwartału 1982 r. przyniosły stratę w kwocie 2 470 tys. zł. (...) Również produkcja kilku wyrobów jest nadal nierentowna. Ustalono, na podstawie kalkulacji wynikowych, że ceny wyrobów wzrosły o wiele więcej niż jednostkowe koszty ich wytworzenia. Zmniejszeniu uległ także udział kosztów własnych, jak również kosztów przerobu w wartości sprzedaży ogółem".*

Wniosek:

*„Z powyższych danych wynika jednoznacznie, że wzrost wartości sprzedaży oraz efektów finansowych nastąpił głównie wskutek podwyżki cen umownych, przekraczającej znacznie ponoszone koszty".*

Co się działo z pieniędzmi, a raczej z zyskiem Spółdzielni, wyjaśniają następne stronice. Fragmenty z tych stronic:

*Nie najlepiej o gospodarności Spółdzielni świadczą ponoszone straty nadzwyczajne. Od 1981 r. wykazują one tendencje wzrostowe. Większości ponoszonych strat można by uniknąć pod warunkiem zwiększenia operatywności poszczególnych służb Spółdzielni",*

albo:

*„Nie najlepiej przedstawiała się gospodarka środkami trwałymi, a szczególnie maszynami i urządzeniami. Główny mechanik i podległe mu służby nie ewidencjonowały czasu pracy maszyn i urządzeń w celu analizy stopnia ich wykorzystania i wiarygodności danych wykazywanych w sprawozdaniu GUS. Często zakupów maszyn i urządzeń dokonywano bez uwzględnienia potrzeb produkcyjnych",*

albo:

*„Nie ujęto ponadto wszystkich kartotek magazynowych w ewidencji druków ścisłego zarachowania, co umożliwiało nie ewidencjonowane rozchody materiałów",*

ponadto:

*„Pomimo trudności zaopatrzeniowych Spółdzielnia odsprzedała własnym pracownikom pełnowartościowe materiały trudnodostępne na rynku detalicznym, takie jak płytki fajansowe, terrakota itp. (...) Takie postępowanie nie jest zgodne ze statutem",*

lub:

*„Niekorzystnie o gospodarności i organizacji usług świadczą nie wykorzystane przez okres kilku miesięcy pomieszczenia po byłych zakładach usługowych. Nie tylko, że nie przyniosły one dochodów w postaci wpływów za usługi, to płacone za nie czynsze pogłębiały straty nadzwyczajne Spółdzielni".*

Gdzie szły pieniądze wypracowywane przez fryzjerów, fotografów , malarzy, techników dentystycznych, emalierów?

W ubiegłym roku, w pierwszym bodajże odcinku „Golenia fryzjerek" napisałem, że zarząd RzUSP sprzyja rozrostowi administracji, którą traktuje jako szaniec mający na celu obronienie go przed atakami ze strony pracowników produkcyjnych. Szaniec obronny trzeba umacniać. Umacniać zaś można jedną tylko drogą:

*„Niekorzystnie kształtowała się średnia płaca pracowników produkcyjnych, gdyż za okres trzech kwartałów 1982 r. była ona niższa od średniej płacy ogółu zatrudnionych o 295 zł, a od średniej płacy grupy kierowniczej aż o 8 690 zł. Dysproporcje te pogłębiły ponadto podwyżki płac w 1982 r. (dwie regulacje), gdyż w wyniku nich średnia płaca pracowników produkcyjnych wzrosła o 1 660 zł i wynosiła 7 745 zł, pracowników umysłowych o 3 297 zł i wynosiła 10 325 zł, pracowników grupy kierowniczej o 5 824 zł i wynosiła 16 435 zł.*

*Przedstawiony wyżej układ średniej płacy nie stwarza dostatecznej zachęty do wzrostu wydajności pracy".*

Zależy dla kogo, bowiem:

*„Poważne zastrzeżenia budzą dokonane przez Radę Spółdzielni podwyżki płac dla członków zarządu w okresie od sierpnia 1981 r. do lipca 1982 r.*

*Po czwartej podwyżce w tym okresie płace zasadnicze wynoszące dla prezesa zarządu 12 000 zł, dla zastępców po 11 000 zł, nie mieściły się w tabeli nr 1 przyjętego przez Radę Spółdzielni okólnika nr 3 prezesa zarządu CZSP z dnia 24 II 1982 r.".*

Okopywanie się w szańcu było zajęciem i praco-, i czasochłonnym, ponieważ:

*„Należy dodać, że sprawy płacowe były kulminacyjną częścią problemów rozpatrywanych przez zarząd Spółdzielni na przestrzeni 1982 r. W TYM ZAKRESIE PODJĘTO AŻ 50 UCHWAŁ".*

Spółdzielnią nie rządzi dyrektor, lecz zarząd i prezes tegoż zarządu. Są oni powoływani przez Radę Spółdzielni. Jaka Rada, taka i spółdzielnia. Jaka zaś jest Rada w Rzeszowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy i przewodniczący tejże Rady?

Pracownicy produkcyjni Spółdzielni mówią, że prezes zarządu i przewodniczący Rady, to jest jedna i ta sama ręka. Inni mówią, że przewodniczący Rady jest szarą eminencją Spółdzielni.

— Ale przecież w wyborach w czerwcu wybraliście sobie ten sam zarząd i tę samą Radę, i tego samego przewodniczącego Rady.

— Oni tak rozegrali wybory, że nikt nie miał na to wpływu. Nikt z nas.

Dyrektor Okręgowego Oddziału Lustracji CZSP w Rzeszowie, który obecny był na owym walnym zgromadzeniu, nie zauważył aby wybory były manipulowane.

— A mogły być manipulowane wybory delegatów na walne zgromadzenie.

— Nie wiem, nie widziałem, nie byłem.

Ci, którzy pracują na zysk Spółdzielni, a spożywają najmarniejsze jego owoce, twierdzą, że *„oni wszystko sobie załatwili podczas wyboru delegatów"*.

O Radzie RzUSP i jej przewodniczącym lustratorzy mieli swoje zdanie:

*„Nie najlepiej wywiązywała się ze swoich obowiązków Rada Spółdzielni. Nie posiadała ona aktualnego regulaminu, planu pracy i programu działalności społeczno - wychowawczej. (...) Również częste uczestniczenie członków Zarządu w posiedzeniach Rady i odwrotnie oraz podejmowanie uchwał o analogicznej treści nie powodowało przyrostu zaufania członków do sposobu pracy Rady, która oprócz podejmowania decyzji w sprawach dla niej zastrzeżonych powinna sprawować kontrolę i nadzór nad całokształtem działalności Spółdzielni. Ta strona pracy Rady była szczególnie zaniedbana. Dwie komisje — rewizyjna i techniczno - ekonomiczna, przeprowadziły na przestrzeni całego 1982 r. zaledwie 4 kontrole.*

*GŁÓWNĄ PRZYCZYNĄ SŁABEJ PRACY RADY BYŁO NIEWŁAŚCIWE JEJ ORGANIZOWANIE I KIEROWANIE PRZEZ PRZEWODNICZĄCEGO OB. WOJCIECHA KRUCZKA". (Podkreślenie moje — J. S.).*

(Przewodniczący Rady jest zarazem kierownikiem działu usług nieprzemysłowych. Jest więc prokuratorem i obrońcą zarazem. Jeśli ukarze któregoś pracownika, tenże ma prawo odwołać się do Rady. Radą zaś rządzi tenże sam człowiek).

Co porabiał podczas lustracji przew. Rady Ob. Wojciech Kruczek:

*„W czasie lustracji nie przejawiał on większego zainteresowania jej wynikami, a w dodatku odmówił lustratorom składania pisemnych wyjaśnień zarówno w imieniu Rady, jak również na okoliczność stwierdzonych nieprawidłowości na odcinku nadzorowanych przez niego usług fryzjerskich. Pomimo naszych wskazań Przewodniczący nie zwołał na naradę polustracyjną całego składu Rady, lecz ograniczył się do powiadomienia tylko wybranych radnych. Sporządzony protokół z narady polustracyjnej w znacznym stopniu nie odzwierciedla faktycznego jej przebiegu, a wypowiedzi poszczególnych osób zostały zniekształcone".*

* * *

W wyniku kontroli dokonanej w RzUSP, listów, anonimów, skarg, wojewoda rzeszowski wystąpił do Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy w Warszawie o dokonanie zmian osobowych w składzie kierownictwa Rzeszowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy.

Dyrektor Okręgowego Oddziału Lustracji CZSP w Rzeszowie wsparł decyzję wojewody sygnowanym przez siebie pismem. Czytamy w nim m. in.:

*„Osoby zatrudnione w składzie członków Zarządu nie gwarantują usprawnienia działalności Spółdzielni i należałoby dokonać zmian całego składu zarządu.*

*Ponadto proponujemy o wydanie zalecenia Walnemu Zgromadzeniu Przedstawicieli Spółdzielni zobowiązującego do odwołania ze składu Rady jej Przewodniczącego Wojciecha Kruczka, który nie wywiązuje się zarówno z obowiązków służbowych (zajmuje stanowisko Kierownika Działu Usług Nieprzemysłowych), jak i nienależycie kieruje pracą Rady. Jest to osoba, na którą po Prezesie Zarządu Spółdzielni inż. Soleckim wpływa najwięcej skarg i zażaleń. Pełnienie funkcji Przewodniczącego Rady oraz jego osobowość (sposób bycia, umiejętność narzucania swojej woli) powoduje, iż każdy skład Zarządu nie mógłby wyegzekwować od niego należytego spełnienia obowiązków służbowych.*

*Oddział w tej sprawie nie wydał stosownego zalecenia ponieważ ma pewność, że nie byłoby ono przedstawione Walnemu Zgromadzeniu Przedstawicieli Spółdzielni".*

Wiktor Sielanko z Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy przesłał Radzie i Zarządowi RzUSP pismo, w którym czytamy:

*„W związku z kontrolą przeprowadzoną w Waszej Spółdzielni przez aparat lustracji CZSP stwierdzam, iż w działalności Spółdzielni wystąpiło szereg poważnych nieprawidłowości i uchybień".*

Do wicewojewody rzeszowskiego zaś:

*„(...) nie znajduję podstaw do zastosowania w stosunku do kierownictwa Spółdzielni sankcji przewidzianych w art. 51 par. 1 ustawy z dnia 16 września 1982 r. — prawo spółdzielcze, gdyż stwierdzone nieprawidłowości nie mają charakteru rażącego naruszenia przepisów prawa i statutu spółdzielni. Wprawdzie badania kontrolne wykazały szereg niedociągnięć w działalności Spółdzielni, jednak część z nich miała charakter natury formalnej, a szereg nieprawidłowości wynikało z zaszłości, jakie miały miejsce za czasów poprzedniego kierownictwa".*

Ciekawym wielce co na to poprzednie kierownictwo i kto płaci za owe uchybienia natury formalnej.

Wiktor Sielanko daje ponadto po garbie fryzjerom, a sposób, w jaki to robi, jest iście kuriozalny:

*„Osobnym problemem jest sprawa usługowych punktów fryzjerskich. Interesy tej grupy pracowników odbiegają od ogólnych kierunków rozwoju Spółdzielni z uwagi na opłacalność świadczenia tych usług, co powoduje wewnętrzne tarcia, niepokoje, pisanie listów anonimowych itp.".*

Z pisma wynika, że W. Sielanko nie kłopotał się zupełnie, aby zastanowić się, co czyni usługi fryzjerskie nieopłacalnymi.

Może i to, że RzUSP wystąpiła z Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Pracy i zrzeszyła się w CZSP. Wolno jej. Przyczyna? Prosta. WZSP jest na miejscu, ma RzUSP pietro wyżej, widzi co i jak się tam robi. CZSP jest ponad 300 km od Rzeszowa. Nawet przez lornetkę z noktowizorem niczego nie dojrzy. Poza tym czyż nie jest przyjemnością dla szefów RzUSP przewietrzyć się od czasu do czasu w stolicy. Koszty? Wpisze się w straty fryzjerów.

Dyrektor Stanisław Smyczyński z Okręgowego Oddziału Lustracji CZSP w Rzeszowie:

*„Myślę, proszę pana, że członkowie spółdzielni otrząsną się wreszcie kiedyś i zrobią u siebie porządek".*

W czerwcu bodajże dokonano wśród załogi RzUSP podziału odpisu z zysku. Prezes otrzymał ponad 50 tys. zł, przewodniczący Rady ponad 40 tys. zł. Spółdzielcy mówią, że to granda w kontekście wyników lustracji i niegospodarności Zarządu.

— A kto ustalał regulamin? — zapytałem.

— Walne Zgromadzenie — odpowiedzieli.

— No to o co chodzi? — zapytałem.

Zdzisław Gil

# „ZNOWU O SYNAGODZE W RYMANOWIE"

Wielokrotnie w ciągu ostatnich lat na łamach Nowin" i „Podkarpacia" przedstawiana była sprawa remontu rymanowskiej synagogi. Budowla ta usytuowana jest przecież w centrum Rymanowa, tuż obok ruchliwej trasy komunikacyjnej. Znajduje się ona aktualnie w ruinie. I tylko znawca lub miłośnik architektury może na podstawie zachowanego wystroju wyobrazić sobie jej osiemnastowieczny wygląd. Do 1945 roku posiadała ona przybudówki od południa i zachodu, zamknięte w górze dachem pulpitowym. Mieściły się w nich: sala kobieca (zwana często również babińcem), szkółka i Kahal (zarząd gminny). Obecnie jest to budowla jednoprzestrzenna, w kształcie niemal kwadratowej hali, z potężną bimą pośrodku. Murowana bima składa się z czterech masywnych filarów zakończonych w górze półkolistymi arkadami, nad którymi widać częściowo zniszczone ceglane sklepienie. Kapitale filarów bimy ozdobione są bogatą dekoracją sztukatorską, złożoną z liści akantu, wolut i wazonów z kwiatami. Natomiast na ścianach wewnętrznych znajdują się fragmenty bogatej niegdyś polichromii, m. in. ściana płacz w Jerozolimie z postaciami modlących się Żydów oraz malarskie przedstawienie lwa, orła, jelenia i lamparta. W dolnej swej partii polichromia styka się z napisami w języku hebrajskim, które miejscami są zupełnie nieczytelne. Od płn.-zach. przylega do synagogi okrągła kamienno-ceglana wieżyczka, obecnie bez dachu. Prowadziły kiedyś na jej górną partię kręte schody, które jednakże nie zachowały się do naszych czasów.

Władze miasta po wojnie miały inne problemy do rozwiązania. I zawsze zamysł odbudowy synagogi przesuwany był na dalszy plan. Aż zaczęto w Rymanowie rozważać możliwość rozbiórki tej budowli. Padały różne argumenty, że nie istnieje już gmina żydowska w Rymanowie, że remont synagogi jest nieopłacalny... W odpowiedzi na taką argumentację, ówczesny Wojewódzki Konserwator Zabytków w Rzeszowie zlecił opracowanie projektu odbudowy obiektu do PP Pracownie Konserwacji Zabytków w Krakowie. Po wykonaniu projektu w roku 1968, został on przekazany do Miejskiej Rady Narodowej w Rymanowie, z zapewnieniem udzielania pomocy przez resort kultury i sztuki w zabezpieczeniu i adaptacji synagogi dla potrzeb kultury. Niestety, pomimo pozytywnej opinii części radnych, sprawa remontu była systematycznie przesuwana na następne lata. Tak było do roku 1976, kiedy to po rozmowie z naczelnikiem miasta i gminy, wojewódzki konserwator zabytków w Krośnie odpisał w liście do Franciszka Ksawerego Sawickiego z Warszawy, że obiekt ten będzie wyremontowany, z przeznaczeniem na bibliotekę i salon wystaw artystycznych. Cóż, kiedy zabrakło pieniędzy w kasie państwowej na wykonanie pełnej dokumentacji projektowo-technicznej i na rozpoczęcie prac zabezpieczających. Dopiero w czerwcu 1981 roku, po przeprowadzeniu oględzin obiektu przez specjalną komisję konserwatorską z udziałem przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki mgr Tomasza Jurasza, podjęta została jednoznaczna decyzja, co do dalszego losu synagogi. Komisja orzekła, że budowla ta, pomimo dużego stopnia zniszczenia, jest cennym zabytkiem architektury i należy ją wstawić do planu konserwatorskiego na 1982 rok. I cała historia potoczyła się już normalnym trybem. Ustalono, na początku 1982 roku, że inwestorem prac remontowych i adaptacyjnych będzie Urząd Miasta i Gminy w Rymanowie. Natomiast kredyty zabezpieczy resort kultury i sztuki, zaś nadzór nad całością przedsięwzięcia sprawować będzie wojewódzki konserwator zabytków w Krośnie. W trakcie sprawdzania dokumentacji projektowej z 1968 roku, okazało się, że jest ona niekompletna i należy zlecić opracowanie nowego projektu technicznego oraz badań mykologiczno-konstrukcyjnych. Okazało się również, że obiekt nie posiadał w ogóle inwentaryzacji architektoniczno-konserwatorskiej. Dlatego też na zlecenie Urzędu Miasta i Gminy w Rymanowie, Pracownia Projektowa PKZ — Rzeszów wykonała w terminie do marca 1983 roku ekspertyzę konstrukcyjno-mykologiczną oraz inwentaryzację architektoniczno-konserwatorską. W trakcie opracowywania jest projekt techniczny dachu. W następnej kolejności wykonana zostanie pełna dokumentacja na remont i adaptację obiektu, z planem rekonstrukcji bocznych przybudówek, rozebranych po II wojnie światowej. Do prac projektowych włączył się bardzo ofiarnie mgr inż. arch. Stanisław Szczęk z Łańcuta, który jest doskonałym specjalistą z zakresu sakralnej architektury żydowskiej. To on zaproponował, aby synagogę rymanowską pokryć dachem brogowym. Takie dachy posiadały osiemnastowieczne synagogi na terenie południowo-wschodniej Polski. Innym ważnym problemem jest zabezpieczenie polichromii na wewnętrznych ścianach synagogi. Okazało się, że w zastraszającym tempie powiększają się spęcherzenia i ubytki na poszczególnych partiach polichromii. Rozspojeniu uległ także tynk. Dlatego też Wojewódzki Konserwator Zabytków w Krośnie nawiązał kontakt ze Spółdzielnią Artystów Plastyków „Plastyka" w Krakowie i w bardzo krótkim terminie, bo już na początku sierpnia br., na zlecenie Urzędu Miasta i Gminy w Rymanowie, rozpoczęte zostały prace zabezpieczające przy polichromii ścian synagogi. Wykonawcami robót są konserwatorzy z wieloletnim stażem: Adam Janczy i Jan Maziarz. Z programu konserwatorskiego wynika, że polichromia zostanie wstępnie zabezpieczona poprzez naklejenie bibułki japońskiej i gazy. W następnej kolejności nałożone zostaną opaski z zaprawy wapienno-piaskowej na krawędziach ubytków oraz wykonane będą zastrzyki z polioctanu winylu celem przytwierdzenia do podłoża spęcherzonych partii polichromii. Gdy zajdzie potrzeba polioctan winylu zostanie zagęszczony kredą. Może to zbyt szczegółowy opis dla czytelnika „Widnokręgu", ale dobrze czasem wiedzieć jakimi środkami zabezpieczają konserwatorzy zabytki.

Trudno powiedzieć, kiedy zostanie zakończony remont i synagogi. Jest zgodne działanie służby konserwatorskiej i naczelnika miasta i gminy w Rymanowie, są zabezpieczone kredyty finansowe, ale nadal brak wykonawcy robót. Może PP. Pracownie Konserwacji Zabytków — Oddział w Rzeszowie odpowiedzą pozytywnie na zlecenie Urzędu Miasta i Gminy w Rymanowie i podejmą się przynajmniej wykonania dachu na tym cennym zabytku?

*Rymanów — synagoga. Fragment polichromii wnętrza przed konserwacją*
*Fot. JAN GRUDYSZ*

NA EKRANACH

# MIASTO KOBIET

W tym mieście nie ma miasta — zabrzmi to jak paradoks, lecz taka jest filmowa rzeczywistość. Są natomiast w filmie kobiety, dużo kobiet. Są młode i stare, piękne, przeciętne i brzydkie, strojne i roznegliżowane, perwersyjne i cnotliwe, feministki oraz anty, narkomanki i poligamki — są kobiety światowe, ze światka i półświatka, są takie, jakie wykreowała wyobraźnia rozmarzonego Marcella Mówiąc krócej kobieta w „Mieście kobiet" bywa odmieniana przez wszystkie przypadki i ukazana wieloznacznie — do granic wyobraźni i erotycznych imaginacji Marcella. Rolę tę Federico Fellini powierzył Mastroianniemu mając zapewne żywo w pamięci wielką aktorską kreację tego artysty z pamiętnego „8 1/2". „Miasto kobiet" jest opowieścią o sennych marzeniach, o onirycznej przygodzie, która zdarzyć się może każdemu, lecz której filmową wizję nadać potrafi tylko mistrz tej klasy co Fellini. A zatem powiedzmy słów kilka o sennej przygodzie Marcella Snaporaza — bo tak się nazywa filmowy Mastroianni. Odbywa on podwójną podróż, tę rzeczywistą pociągiem peryferyjnej linii u boku własnej żony, w czasie której monotonny, kołyszący rytm wagonu (u Felliniego posiada on wyraźny erotyczny podtekst) przenosi go w inny wymiar, w inny świat, świat niespełnionych marzeń. Snaporaz śni. W tym śnie zaciera się obraz jego ślubnej małżonki, a jej miejsce zajmuje uwodzicielska dziwka prowokująca do śmiałych działań. Osobę tę z żoną Marcella łączą jedynie dwie rzeczy — futrzany toczek oraz ... kozaczki. Pomiędzy Marcellem a pociągającą znajomą dochodzi do pierwszego zbliżenia. W przepełnionym pociągu jak wiadomo jest tylko jedno „intymne" miejsce ewentualnie nadające się na tego typu spotkania Marcello korzysta z tej okazji Później rozsmakowany w przyjemnościach jak w lunatycznym śnie podąża za owną przygodną nieznajomą. I tak oto dostaje się do miejsca obrad kongresu feministek. Owe panie w tym czasie odbywają rytualny sąd nad mężczyzną.

Ten kongres, jego obrady — jak sądzę będzie główną atrakcją „Miasta". Otóż właśnie w tej partii filmu zawarł Fellini wszystkie swoje erotyczne obsesje posługując się przy tym bogatą ikonografią z dziedziny — nazwijmy to „fallusologii". Jednak do popisowych partii kongresu zaliczyłbym wyśmienitą pantomimę oddającą ciężką dolę kobiety matki, gospodyni i żony. Ten fragment filmu godny jest wielokrotnego obejrzenia. Inne sceny, które polecam uwadze widzów sprowadzają się mówiąc najogólniej do ukazania ekstrawagancji, ekshibicjonizmu i wybujałego erotyzmu kobiet. Tego rodzaju wymaganiom — zdaje się twierdzić Fellini nie potrafi sprostać żaden mężczyzna. Szuka on więc gorączkowo swojego ideału kobiety przechodząc przez stadia niezliczonej ilości doświadczeń, jak filmowy doktor Katzone, w rejestrze którego znajduje się dziesięć tysięcy kochanek. Ten współczesny symbol Cassanowy posiada w swojej rezydencji specjalny „album" seksualnych wspomnień. Po naciśnięciu odpowiedniego klawisza może on wywołać nie tylko obraz wyśnionej kochanki, lecz także jej namiętny szept.

Można więc i pełniej, i wszechstronniej kolekcjonować wspomnienia — powiada doktor Katzone. Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na szczególną rolę dialogu w filmie. Otóż nie jest wykluczone, że sporo — szczególnie tych rymowanych zwrotów znajdzie się już niedługo w potocznym obiegu „zasilając" w ten sposób językowy folklor miejskich przedmieść.

„Miasto kobiet" — film prod. włosko-francuskiej, reż. **Federico Fellini.**

**T. GNYS**

Teresa Kwaśniewska

## Oczekiwanie na ustawę

# NIE SPRAWDZENI — DO KULTURY

Z uporem maniaka Wojciech Żukrowski podkreśla przy każdej okazji: „kultura nie może być miejscem zesłania dla tych, którzy nie sprawdzili się gdzie indziej". A taki pogląd jeszcze pokutuje: „tam byli nieprzydatni — tu będą mniej szkodliwi". Dlatego też stale powtarzany postulat o podniesienie rangi i prestiżu pracownika kultury musi znaleźć pokrycie w codziennym działaniu. Oczywiście nie generalizując — jest też cała rzesza instruktorów, bibliotekarzy, działaczy, kierowników klubów — wspaniałych społeczników, związanych latami z pracą od podstaw nad upowszechnianiem kultury i tych pasjonatów, którzy dopiero startują i chcą coś cennego wnieść w tę dziedzinę. Ale z dnia na dzień jest ich coraz mniej. Odchodzą od kultury do placówek resortu oświaty albo do administracji. Powód? Wcale nieprozaiczny: jednak wyższe uposażenie, o 1/4 niższy wymiar pracy itp. Najbardziej fluktuacja odczuwana jest w placówkach bibliotecznych (20—25 proc.). W ciągu ostatnich trzech lat odeszło 700 wysoko kwalifikowanych bibliotekarzy, w samym tylko np. w woj. koszalińskim — 50 proc. kadry. Exodus trwa nadal. Przykłady można by mnożyć. Całe upowszechnianie kultury i tzw. działalność kulturalną w terenie stawiają więc pod znakiem zapytania warunki płacowe i socjalne. Zarobki tak dalece odbiegają już od średniej krajowej, że mało kto wytrzymuje. Według danych GUS z 1981 r. — średnie płace w resorcie kultury i sztuki były najniższe ze wszystkich działów gospodarki narodowej i wynosiły 5 813 zł, w upowszechnianiu — 4 899 zł, a najniższe płace w ogóle wynoszą zaledwie 3 260 zł W tym czasie nastąpił wzrost płac średnio o 25,2 proc., w resorcie kultury tylko o 18,1 proc. Zważywszy że 60 proc. tej kadry to ludzie młodzi, nie wiązali na ogół swoich planów życiowych z pracą w kulturze, co za tym idzie nie mieli żadnych motywacji do podnoszenia wykształcenia i zdobywania kwalifikacji zawodowych.

Mając świadomość powyższych uwarunkowań podejmuje się obecnie istotne kroki zmierzające do poprawy sytuacji w tym zakresie. Jest przygotowany projekt „Ustawy o upowszechnianiu kultury oraz o prawach i obowiązkach pracowników upowszechniania kultury", który wkrótce powinien wpłynąć do Sejmu. Po raz pierwszy w sposób generalny i jednolity normuje się w nim sprawy celów, treści, zasad i warunków upowszechniania kultury, sprawy pracownicze — dotychczas w ogóle nie określane bądź cząstkowo regulowane aktami prawnymi różnej rangi i w sposób niespójny.

A jest o kogo „walczyć" i dobijać się. To ponad 20-tysięczna kadra instruktorska zatrudniona w domach i ośrodkach kultury, robotniczych centrach, placówkach upowszechniania kultury prowadzonych przez zakłady pracy. Ponad 70 proc. legitymuje się wykształceniem średnim i powyżej, a więc spełnia wymagania kwalifikacyjne. Od 1 stycznia 1985 roku będzie się im lepiej płacić i otaczać większą opieką. Średnie wynagrodzenie nie może być niższe od średniej płacy krajowej. Za wieloma przywilejami mają pójść i wymagania odnośnie do pewnych warunków pracy. Kultura to dziedzina szczególnie zaniedbana na wsi. Istna pustynia kulturalna. Dziś trzeba tu kulturę dosłownie „reanimować". A bodźców do tego wyraźnie brakuje. W ustawie proponuje się więc konkretne przywileje dla pracowników kultury, którzy podejmą pracę na wsi, w małych miasteczkach liczących do 5 tys. mieszkańców (np. prawo do otrzymania mieszkania w miejscu pracy, stałego dodatku 10 proc., dzierżawy działki itp.). Tu kryją się realniejsze możliwości pozyskania kwalifikowanych kadr dla prowincji.

Na pewno ustawa nie rozwiąże wszystkich nabrzmiałych problemów związanych z upowszechnieniem kultury, nie może być remedium na wszelkie bolączki. Za długo na nią czekano. Za dużo nagromadziło się zaniedbań w tej sferze. I za duże nadzieje wiąże się z nią, aby mogły być spełnione. Mamy czas, jaki mamy. I uwarunkowania. Czy wobec tego ustaw ma sens? Ma. Bo pozwala ruszyć z jakiegoś martwego punktu, dokonać przełomu. Bo sprecyzuje wreszcie status pracownika kultury, uzna rolę i rangę jego zawodu, stwierdzi społeczne i merytoryczne jego potrzeby. Kultura była i jest dziedziną niedofinansowaną, długo ustawiana na pozycji ubogiego krewnego (stąd dowolność w jej traktowaniu i rozumieniu wobec niej obowiązków). Kryzys jeszcze bardziej to spotęgował. Bo jeszcze mniejsze są szanse szybkiej poprawy w zakresie środków materialnych i infrastruktury. A zatem? Trzeba jednak określić jakąś strategię na jutro, główne zadania. Trzeba po prostu na coś postawić. Czyż pozostaje inna alternatywa — jak stawianie ludzi? Oni będą realizować te zadania. Oni też będą tworzyć warunki do naszego uczestnictwa w kulturze, rozbudzać naszą wrażliwość, pomagać w odbiorze i odkrywaniu sztuki. A wreszcie będą współtwórcami programów kultury. I może wreszcie ich miejsca przestaną pełnić „funkcję" zmarnowanych etatów.

**(Interpress)**

Andrzej Tumialis

# POLACY NIE GĘSI — TYLKO POLSKI ZNAJĄ

Od lat przyzwyczailiśmy się do naukowego portretu naszej młodzieży, jaki co rok rysują nam wyniki egzaminów wstępnych do wyższych uczelni. Raz cieszymy się, bo matematyka i fizyka wypadła lepiej i już, już wietrzymy w tej mierze przełom, aż po roku, dwóch, niespodzianka — lepiej zdają z przedmiotów humanistycznych. Raz powiadamy o nich: godni są kraju Kopernika, innym razem — Kotarbińskiego i Witkacego. W tym roku byli godni kraju Himilsbacha... Fizykę i matematykę zdawali lepiej. Od lat natomiast w jednej dziedzinie kandydaci na inżynierów, lekarzy i filozofów nie zaskakują nas zupełnie — generalnie źle zdają egzaminy z obcych języków. Generalnie młody Polak „nie parle". Przy czym zadziwiać musi jakże jednakowy, ustabilizowany talent tak do rosyjskiego języka, jak do francuskiego, niemieckiego, angielskiego i... pozostałych. A mankament ten ma swe źródło w czaszce naszej wyłącznie, czy może także w szkole? Otóż szanując władze oświatowe i pedagogów, w szkole też.

Oto w roku szkolnym 1979/80 w naszych szkołach średnich 20 proc. uczniów uczyło się języka niemieckiego, 13 proc. — angielskiego, 6 proc. — francuskiego. Innych w sprawozdaniu „o nauczaniu języków zachodnich" nawet się nie wymienia, bo nie uzbierałby się 1 proc. Postęp w tej dziedzinie, w porównaniu do lat 1974/75 wyraża się... dwoma procentami. A jeszcze „dodać" trzeba (a właściwie raczej — ująć), że tylko w liceach język zachodni jest obowiązkowy, tylko w liceach liczba godzin i warunki nauczania sprzyjają niezłemu opanowaniu języka zachodniego. Do liceów zaś uczęszcza jedynie 18 proc. populacji młodzieży. Słowem: nawet nie co piąty uczeń może, jeśli bardzo zechce, nauczyć się nieco języka zachodniego.

A w szkołach podstawowych, w wieku najłatwiejszego przyswajania języka obcego? Tutaj uczy się języków zachodnich 9 tys. młodzieży. Tylko w szesnastu oddziałach w kraju uczyniono język zachodni przedmiotem obowiązkowym. Pół procenta uczniów szkół gminnych uczy się obowiązkowo, nieco ponad jeden procent dobrowolnie. Tymczasem... Tymczasem w 15 województwach — anglicści, w 30 województwach — romaniści i w 26 województwach — germaniści nie są w pełni zatrudnieni. Czy coś się zmieni?

Projektuje się wprowadzenie obowiązkowego języka zachodniego do klas VII i VIII. W roku szkolnym 1982/83 wprowadzono dwie godziny języka zachodniego w klasie siódmej na zasadzie dobrowolności, wprowadzono obowiązek dzielenia grup liczących ponad 25 osób, uczyniono język obcy przedmiotem obowiązkowego egzaminu maturalnego. Przygotowuje się podręczniki szkolne do nauki hiszpańskiego w roku szkolnym 1984/85.

Tyle innowacji, a właściwie tyle projektów. Przy czym w najważniejszym projekcie — w stosunku do młodzieży w klasach VII—VIII — przezornie nie podaje się żadnej daty wdrożenia projektu. Dlaczego? Może dlatego, że np. język angielski jest bardzo trudny, gdyż inaczej się pisze, a inaczej czyta. Np. pisze się London, a czyta się Manchester. W 15 województwach anglicści czekają, aby móc uczyć przełamywania tych trudności.

**(Interpress)**

*Fot. STANISŁAW SZLĘZAK*

Stare... na nowe

» « LISTY » «

# „SZKOŁA GÓRNICZA"

**W związku z artykułem red. Jacka Stachiewicza z dnia 9.08.1983 r. pt. „Szkoła górnicza" chcę ustosunkować się do wypowiedzi Naczelnika Gminy w Boguchwale i przedstawiciela KOiW w Rzeszowie. Naczelnik gminy w Boguchwale mgr Józef Białek stwierdza, iż budowa Szkoły Podstawowej w Niechobrzu Dolnym rozpoczęta została na „wariackich papierach". Otóż na pewno wiadomo jest obecnemu naczelnikowi gminy, że zarówno zlecenie na opracowanie dokumentacji, jak też zezwolenie na budowę szkoły wydał Urząd Gminy w Boguchwale i określenie takim mianem swoich poprzedników jest nie mniej nieparlamentarne, jak zachowanie się przedstawicieli Społecznego Komitetu Budowy Szkoły wobec władz gminy czy województwa. Chcę też nadmienić, że jest to już trzecia dokumentacja na budowę szkoły — pierwsza w połowie lat sześćdziesiątych, druga w połowie lat siedemdziesiątych, a trzecia opracowywana obecnie. Zmiany dokumentacji zgodne są ze zmianami naczelników gmin. Zresztą ta ostatnia dokumentacja, która teraz nadaje się na makulaturę nie była zlecona po to, aby zadowolić miejscową ludność, czy też nabić kieszeń projektantów, lecz zgodna była z ówczesną „polską normą" (zbiorcza szkoła dziesięcioletnia), którego to określenia użył naczelnik gminy w swojej wypowiedzi. Zarówno mieszkańcom wsi, jak też radzie pedagogicznej zależy tylko i wyłącznie na tym, aby dzieci mogły zdobywać edukację w normalnych, przyzwoitych warunkach, a nie w jakimś pałacu szkolnym, co wynikałoby z treści wypowiedzi zawartych w artykule Jacka Stachiewicza. Inny zarzut naczelnika gminy dotyczył nieporządku stwierdzonego w czasie jednej z kontroli. Otóż bardzo trudno jest utrzymać czystość, ład i porządek w naszej szkole przede wszystkim ze względu na panującą ciasnotę, brak miejsca na zmianę obuwia, a przecież dzieci w większości dochodzą do szkoły błotnistymi ścieżkami...**

**Brak jest też bieżącej wody, a do kosza na śmieci można się dostać poprzez ciasno zastawione ławki. Jest to tym bardziej uciążliwe, że po każdej ostrzejszej interwencji członków Społecznego Komitetu Budowy Szkoły, czy też radnych GRN w szkole naszej pojawiają się kontrole szukające kurzu i papierów, a mniej interesujące się niszczącą budową, aby przy następnych odwiedzinach mieszkańców wsi mieć argument „lepiej to pilnujcie porządku w szkole". Wielce krzywdzące zarówno rodziców, jak też młodzież szkolną jest twierdzenie byłego gminnego dyrektora szkół cytowane przez przedstawiciela KOiW w Rzeszowie jakoby młodzież szkolna „napuszczana" przez rodziców celowo niszczyła istniejący obiekt szkolny. Jest to twierdzenie absolutnie pozbawione podstaw. 80-letnie tynki czy parapety odpadają systematycznie bez niczyjej pomocy...**

**1. 08. w rozmowie z naczelnikiem gminy i p.o. gminnym dyrektorem szkół ponownie zwracałam się z prośbą o uzupełnienie tynków, malowanie ścian i lamperii w szkole i ponownie otrzymałam odpowiedź, że ze względu na brak funduszy jest to niemożliwe. Uzupełnić chcę też wypowiedź red. Jacka Stachiewicza, który stwierdza, że nauczyciele w pokoju nauczycielskim mogą się pomieścić tylko stojąc — trzeba koniecznie dodać „na baczność", gdyż w swobodnej postawie byłoby to niezwykle trudne ze względu na brak miejsca.**

**Mgr Stanisława Solecka**
**dyr. Szkoły Podstawowej**
**w Niechobrzu Dol.**

# Listy do przyjaciela

*Zgodzisz się ze mną, Drogi, że ostatnie seriale telewizyjne działają skuteczniej od pigułki nasennej: idzie toto długo, gada się w tym dużo i jest jak z niepożądanymi gośćmi — przyszli, więc ich przyjmujesz, a gdy drzwi zamkną — oddychasz z ulgą, że będzie spokój na następny tydzień.*

*Czy dziwić się więc, Drogi, że nagle nabrał blasku „Czterdziestolatek", czyli rzecz o niedorozwoju umysłowym, którym dotknięta jest inteligencja techniczna?*

*Wszystko tu bowiem pozornie nieszkodliwe, umotowne, zabawne; jeżeli zaskrzeczy rzeczywistość — to zaraz ją wycisza łagodna sentencja, humanitarne uzasadnienie. Jeżeli wdepniemy w krąg przygłupów — dyrektorów, to zaraz te przygłupy przeistoczą się w pozytywnych braci — laty, słowem — swoich chłopów, jeżeli nas wścieknie inżynier Nowowiejska, czyli snob nowoczesny, albo też wzór na polski nepotyzm — to zaraz się okaże, że lalka jest pierwszorzędna i w ogóle materiał na naukowca, jeżeli nam się poda na talerzu obrzydliwości Maliniaka, czyli nieroba i podgryzacza — to zaraz się mrugnie, że poprzez Maliniaka scenarzysta wpuszcza nas w maliny, bo Maliniak — dusza człowiek, cyniczny nierób Walendziak — też dusza człowiek, kobieta pracująca — też dusza nad dusze, nawet słodka idiotka Maviolka też częściej robi użytek z duszy poczciwej, aniżeli innej części ciała.*

*W tej krainie utopii każda wada staje się zaletą, wódka jest dla ludzi i wyzwala inicjatywy, żona jest po to, żeby prowadzić dom i mieć sukcesy zawodowe, po zjednoczeniach siedzą zgrane kolektywy, minister jest chłop — do — rany — go — przyłóż, bo prędzej wścieknie się o wróżkę Florę niż o nie wykonany plan.*

*Jeszcze rok, jeszcze dwa — a panowie Karwowscy, Wardowscy, Walendziakowie, Maliniakowie przegonią Japonię oraz Seszele, a drugą Polskę przeistoczą w trzeci świat i zamiast królików — kupią żonie sobole oraz niewolnicę do czarnych robót...*

*Tymczasem czterdziestolatek zdążył dobiec pięćdziesiątki i podejrzewam, że pani Madzia płacze nad wyłysiałym futrem z królí, a Maliniak już dawno zdążył zostać dyrektorem, robiąc dyplom zaocznie, czyli w myśl sławnego telefonicznego zapytania: na którym to ja już roku jestem, Rektorze?*

*I tymczasem my sobie patrzymy z rozrzewnieniem na powszechny niedorozwój umysłowy sfer inteligenckich, tęsknimy niemal za ówczesną atmosferą dobrodusznej akceptacji wszystkiego co ludzkie i nieudolne. I jakby nieco w oderwaniu od uciążliwych realiów oraz jakby z łagodnym leitmotivem z „Wesela" w uchu, tym leitmotivem, że miałeś, chamie, złoty róg, albo tym — a jak będzie słońce i pogoda...*

*Bo kochamy utopię i utopie są dobre na wszystko. Przy tym żadnej z nimi niewygody. Bezkonfliktowe toto, łagodne, przeczyszcza nie przerywając snu.*

*A potem już tylko zastanawiamy się, dlaczego w dworskiej kamaryli Ludwika XIV tak bardzo nie lubiano Moliera, że aż sam Król Słońce musiał dawać przyzwolenie po pięcioletnich bojach autora na zagranie publiczne „Świętoszka"?*

*Dlaczego, jak Beaumarchais napisał „Wesele Figara" i przez trzy lata wojował z Ludwikiem XVI o jego wystawienie — to poszła fama pośród następnej kamaryli dworskiej, że są to armaty ukryte w kwiatach?*

*A co ukrył w Walendziaku, Maliniaku i Zadwornym scenarzysta „Czterdziestolatka" — Krzysztof Teodor Toeplitz, cieszący się po dziś dzień dobrym zdrowiem i nader swoistym poczuciem humoru? No, co ukrył? Jaką kamarylę obraził? Na jakim dworze go grywano — bądź zakazywano grywać?*

*Pytam Cię retorycznie, Przyjacielu, bo na dobry humor, jak dotąd, nie ma recepty. Nawet na swoisty humor, z którego wypływa dobre zdrowie i jeszcze lepsze samopoczucie.*

***KRYSTYNA***